

Fenestra rusza z podcastem na Spotify! Co miesiąc będziemy omawiali tekst okładowy wraz z jego autorem, by pogłębiać ważne kulturalne, polityczne bądź też społeczne tematy. Zeskanujcie znajdujący się obok kod QR, by posłuchać naszego debiutanckiego podcastu, w którym poruszamy temat edukacji zdrowotnej. Zapraszamy do odsłuchu!



Z końcem września na ekrany trafił wyczekiwany przez fanów polskiego kina film „Zamach na papieża”. Reżyser Władysław Pasikowski ukazuje w nim realia Polski z czasów PRL-u, zestawiając je z dramatycznymi wydarzeniami, które rozegrały się w Watykanie w 1981 roku. Dzięki połączeniu fikcji z prawdziwymi faktami tworzy niezwykle, pełną napięcia opowieść. Zachęcamy do przeczytania recenzji!

8

Forum wymiany myśli studentów WNPID

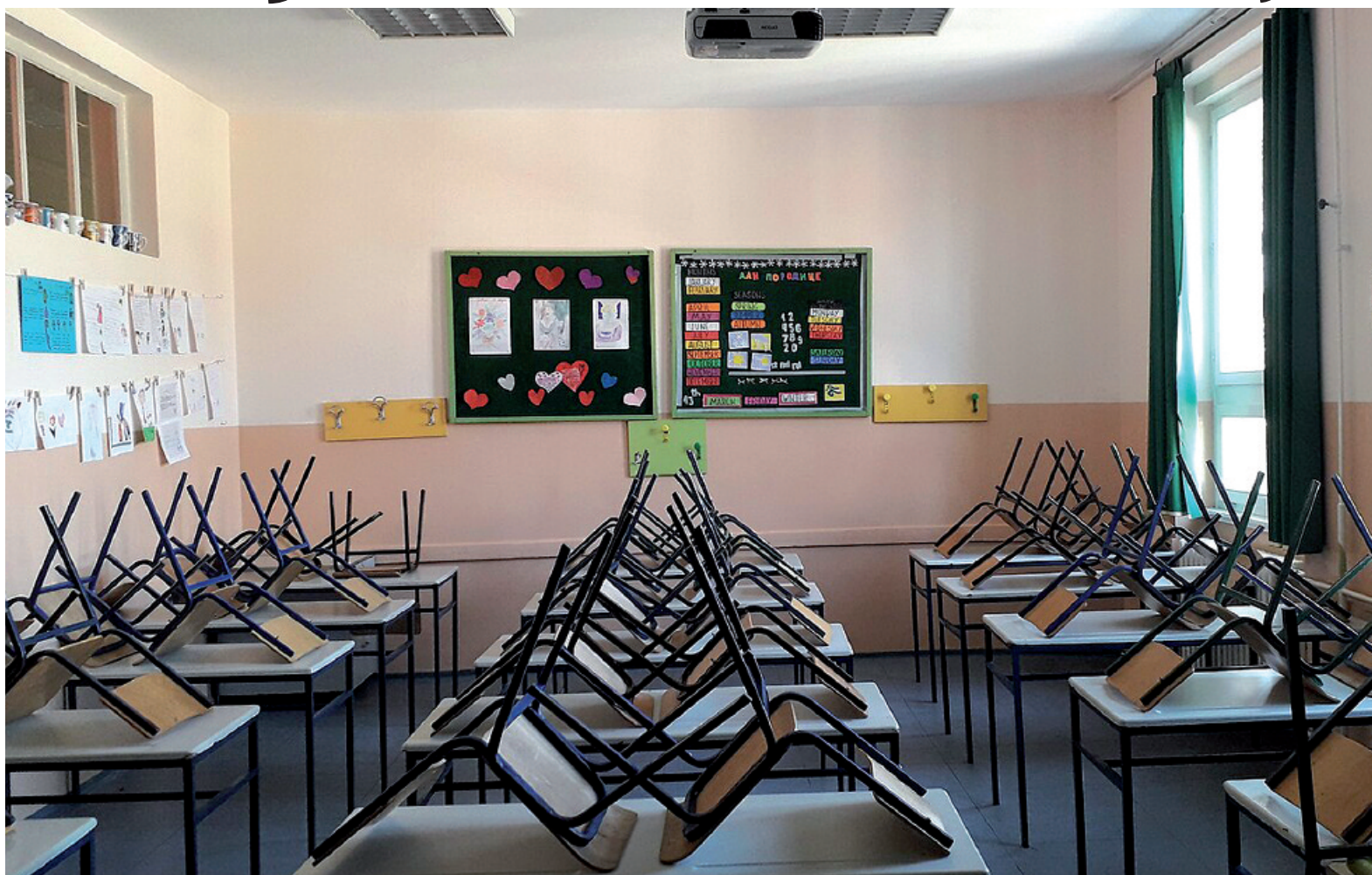
Fenestra



Bezpłatny miesięcznik
Nr 119 | PAŹDZIERNIK 2025

Edukacja tabu i kontrowersji?

Wizja była utopijna – dzięki edukacji zdrowotnej młodzież miała nauczyć się istotnych zagadnień związanych ze zdrowiem. Oczekiwania Ministerstwa Edukacji Narodowej szybko zostały jednak zweryfikowane. Rodzice zaczęli masowo wypisywać swoje dzieci z tego nieobowiązkowego przedmiotu. Dlaczego tak wiele osób zrezygnowało? Jakie są konsekwencje tego, że przedmiot jest fakultatywny? Co, oprócz edukacji seksualnej, której kwestię non stop podkreśla opozycja, ma do zaoferowania edukacja zdrowotna?



Źródło: Creative Commons Attribution-Share Alike 4.0 International license, fot. Dobryslawa

Tylko 8% uczniów klas trzecich poznańskich liceów uczestniczy w zajęciach z edukacji zdrowotnej. W niższych klasach statystyki też nie napawają optymizmem. Przedmiot, który ma uczyć o sprawach bezpośrednio dotyczących każdego z nas, stał się tematem sporów i kłótni. Wzbudza emocje nie tylko wśród dzieci i młodzieży, która może tę wiedzę przyswajać, ale także wśród rodziców, pedagogów, a przede wszystkim polityków, którzy chętnie wypowiadają się na ten temat. W internecie zawrzało, gdy prezydent Karol Nawrocki poinformował, że wypisał swojego syna z edukacji zdrowotnej. Nie zabrakło też spekulacji, że na podobny krok zdecyduje się Rafał Trzaskowski, który zdementował je na platformie X.

Natomiast Bartłomiej Wróblewski, poseł z ramienia PiS na po-

czątku września zorganizował konferencję prasową, podczas której wyraził swój sprzeciw wobec idei wprowadzenia edukacji zdrowotnej. Jego zdaniem nowy przedmiot jest niezgodny z artykułem 48. polskiej Konstytucji o treści: „Rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniem. Wychowanie to powinno uwzględniać stopień dojrzałości dziecka, a także wolność jego sumienia i wyznania oraz jego przekonania”. Zdaniem posła wszystkich potrzebnych treści dałoby się nauczać w ramach m.in. lekcji biologii. Symbolem luki edukacyjnej w Polsce w zakresie zdrowia stali się politycy zaproszeni do programu „Poranek polityczny” na antenie TVP Info. Andrzej Kosztowniak (PiS), Marcin Karpiński

(Nowa Lewica) i Ireneusz Raś (Sekretarz Stanu w Ministerstwie Sportu i Turystyki) nie potrafili odpowiedzieć na z pozoru proste pytanie dziennikarki o różnicę pomiędzy okresem a owulacją. Z odpowiedzi został zwolniony Adrian Witczak (KO) – nauczyciel biologii. Wszystko to przyczyniło się do frekwencyjnej klęski edukacji zdrowotnej. W toku gorących dyskusji zdążyliśmy już przekonać się, co o zasadności nowego przedmiotu sądzą politycy. Postanowiliśmy sprawdzić, jak wygląda to z perspektywy samych zainteresowanych: nauczycielki tego przedmiotu; matki, której dziecko uczestniczy w zajęciach oraz ojca, który wypisał z nich swojego syna. W tym celu przeprowadziliśmy z nimi wywiady.

Zajęcia z edukacji zdrowotnej nie cieszą się wysoką frekwencją

„Rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniem. Wychowanie to powinno uwzględniać stopień dojrzałości dziecka, a także wolność jego sumienia i wyznania oraz jego przekonania”.

Okiem nauczyciela
O zakres merytoryczny i stosunek do przedmiotu zapytaliśmy Panią Karolinę, nauczycielkę w szkole podstawowej oraz branżowej, która wcześniej uczyła wychowania fizycznego.

Czego dotyczy program nauczania edukacji zdrowotnej? Czym różni się od dotychczasowego – także nieobowiązkowego – wychowania do życia w rodzinie?

– Przede wszystkim ten przedmiot ma moim zdaniem większe zaplecze merytoryczne, niż wcześniej miało wychowanie do życia w rodzinie. Tutaj mamy konkretnie wy-

dokończenie na str. 3

Nowa, hybrydowa codzienność

Wojna na Ukrainie trwa już ponad trzy lata. Mimo braku wyraźnego zwycięstwa Rosja rozszerza swoje wpływy i testuje jedność Europy. We wrześniu tego roku pojęcie wojny hybrydowej na stałe weszło do polskiego słownika, ujawniając nową twarz współczesnych konfliktów. Dziś coraz częściej przybiera ona realny wymiar – także nad polskim niebem, gdzie drony stają się narzędziem prowokacji i testem dla europejskiego bezpieczeństwa.

Gdy na początku września polska przestrzeń powietrzna została naruszona przez serię niezidentyfikowanych dronów, które nadleciały ze wschodu, premier Donald Tusk powiedział znamienne słowa: „Ta sytuacja stawia nas bliżej, niż kiedykolwiek, otwartego konfliktu po II wojnie światowej”. Według Ministerstwa Obrony Narodowej zarejestrowano od kilkunastu do ponad dwudziestu obiektów, z których część została zestrzelona przez polskie i sojusznicze systemy obrony przeciwlotniczej. Oficjalnie Rosja nie przyznaje się do ataków, jednak wywiady Polski i państw sojuszniczych nie mają wątpliwości co do rosyjskiej odpowiedzialności. Pozostaje kwestia celowości, którą podważał Prezydent USA Donald Trump. W tej sytuacji stanowczością wykazał się szef Ministerstwa Spraw Zagranicznych – Radosław Sikorski, oświadczając, iż: „Nie mamy wątpliwości, że nie było to zdarzenie przypadkowe”. Kolejną ofiarą prowokacji okazała się Dania. Drony nadleciały w okolicę lotniska w Kopenhadze. Aż 31 lotów zostało przekierowanych do innych obiektów, co doprowadziło do opóźnień. W związku z naruszeniem przestrzeni powietrznej kraju zostało odwołane około 100 połączeń lotniczych. Władze duńskie okazały ostrożność nie wskazując jednoznacznie sprawcy, nie wykluczały jednak winy Rosji.

Większość wojen w historii nie rozgrywała się wyłącznie w okopach. Dziś jednak pola bitew przeniosły się jeszcze dalej, wykraczając poza nasze wyobrażenia rodem z filmów o II WŚ. Zamiast czołgów i rakiet, państwa i aktorzy niepaństwowi używają środków pośrednich, takich jak cyberataki, dezinformacja czy właśnie drony. Bez-



Drony stały się integralną częścią świadomości społeczeństw zagrożonych wojną hybrydową

Wojna hybrydowa to nie tylko walka za pomocą dronów. To sposób prowadzenia konfliktu, który łączy działania na wielu polach, także informacyjnych i gospodarczych. Nie chodzi w niej o otwartą walkę, ale o powolne osłabianie przeciwnika i wpływanie na jego społeczeństwo.

załogowe statki powietrzne pozwalają prowadzić działania destabilizujące. W ostatnich latach stają się też coraz tańsze w produkcji, a co za tym idzie – bardziej dostępne. Ich użycie pozwala na testowanie reakcji przeciwnika, badanie jego systemów obronnych, a także wywołanie strachu w społeczeństwie bez przekraczania ostatecznej granicy. Drony przeszły ogromną ewolucję, od prostych maszyn rozpoznawczych po precyzyjne narzędzia, zdolne przenosić materiały wybuchowe ważące nawet do kilkuset kilogramów. Rosja szeroko wykorzystuje je w wojnie przeciwko Ukrainie, co potwierdzają liczne analizy ośrodków badawczych i or-

ganizacji międzynarodowych. Wersje dronów typu Gerbera, które wywodzą się od irańskich Shahe-dów, znaleziono na terenie Polski. Największą pułapką tych narzędzi z punktu widzenia ofiar agresji jest trudność w ustaleniu, czy są to rzeczywiste, uzbrojone pociski, czy wabiki, które mają skłonić przeciwnika do kosztownych reakcji i wywołać niepokój w społeczeństwie. Wzrost zagrożenia skłonił instytucje europejskie do działania. W orędziu o stanie UE z 10 września przewodnicząca Komisji Europejskiej, Ursula von der Leyen wezwała do wzmocnienia systemów obronnych. „Europa musi wysłuchać apelu krajów bałtyckich

i przyspieszyć budowę tzw. muru dronów” – powiedziała polityczka. „Ściana dronów” miałyby oznaczać współpracę państw pogranicza oraz połączenie radarów, systemów wykrywania i środków neutralizacji. Od fizycznych systemów przechwytywania po zakłócające sygnału. Plan jest jednak dopiero na wczesnym etapie i do jego wprowadzenia w życie potrzebne są duże fundusze i czas.

Wojna XXI wieku

Wojna hybrydowa to nie tylko walka za pomocą dronów. To sposób prowadzenia konfliktu, który łączy działania na wielu polach, także informacyjnych i gospodarczych. Nie chodzi w niej o otwartą walkę, ale o powolne osłabianie przeciwnika i wpływanie na jego społeczeństwo. Rosja zaczęła wykorzystywać te metody na szeroką skalę po 2014 roku. Wtedy po raz pierwszy połączyła działania militarne z dezinformacją i cyberatakami, a także z użyciem tzw. zielonych ludzików, czyli żołnierzy bez

oznaczeń narodowych. Od tamtej pory strategia hybrydowa stała się jej głównym narzędziem wpływu w Europie – od ingerencji w wybory, po próby destabilizacji sąsiednich krajów. Cel jest zawsze taki sam: podważenie zaufania do instytucji państwowych i osłabienie jedności Zachodu. Natężenie tych działań wyraźnie wzrosło po rozpoczęciu wojny na Ukrainie. Od momentu, gdy Polska zaangażowała się w pomoc sąsiadowi, stała się jednym z głównych celów rosyjskiej propagandy. Jednocześnie Rosja próbuje rozszerzać swoje wpływy także w innych państwach europejskich. Dobrym przykładem jest Rumunia, gdzie Trybunał Konstytucyjny unieważnił pierwszą turę wyborów prezydenckich po doniesieniach o ingerencji zewnętrznej. Raporty rumuńskiego wywiadu wykazały, że kampania ultrapravicowego kandydata Calina Georgescu była wspierana przez zorganizowaną aktywność w mediach społecznościowych na platformach takich jak TikTok i Telegram.

Drony, cyberataki i kampanie dezinformacyjne stały się nowymi narzędziami wpływu, pozwalającymi testować reakcje państw i społeczeństw. Współczesna agresja może przebiegać niemal niezauważalnie, wzmacniając wpływy agresora. Pokazują to chociażby ingerencje w wybory, manipulacje w mediach społecznościowych i subtelne prowokacje w krajach europejskich. Skuteczna obrona wymaga więc nie tylko siły zbrojnej, lecz także odporności informacyjnej i krytycznego myślenia społeczeństwa. Społeczeństwa, które potrafi rozróżnić fakty od manipulacji, ale i silnej współpracy międzynarodowej w celu przeciwdziałania nowym zagrożeniom.

Oliwia BŁAZIK



Rosja Putina wytrwale testuje czujność i jedność Zachodu

Edukacja tabu i kontrowersji?

dokończenie ze str. 1

znaczone przez podstawę tematy, których warto się z młodzieżą podjąć. Oczywiście nie znaczy to, że jeżeli uczniowie sami zaproponują jakiś rozsądny temat w zakresie tego przedmiotu, to go nie wykorzystamy. Jest jednak taki schemat, szablon, który pozwolił nam odpowiednio się przygotować do prowadzenia tych zajęć w jak najbardziej przystępny dla młodych sposób. I, co moim zdaniem jest szczególnie ważne – te podręczniki, na których bazujemy nie są staromodne. Zostały opracowane przez specjalistów w swoich dziedzinach tak, aby była to naprawdę ważna i solidna dawka informacyjna dla współczesnych dzieci oraz nastolatków.

Jakie tematy będą poruszane podczas tych zajęć, co mogą z nich wynieść uczniowie?

– Moim celem, jako nauczycielki tego przedmiotu, jest uświadomienie młodzieży, jak można żyć zdrowo. Żyjemy w czasach, kiedy mamy naprawdę mnóstwo możliwości prowadzenia odpowiedniej diety czy uprawiania wielu, różnych dyscyplin sportowych, a często tego zupełnie nie wykorzystujemy. Zapominamy także o regularnym badaniu się. Chciałabym, aby nowe pokolenie miało szansę wejść w dorosłość już z wypracowanymi dobrymi nawykami – zarówno tymi żywieniowymi, dotyczącymi aktywności fizycznej, jak i kwestiami związanymi z profilaktyką. Wszystko w myśl zasady: „w zdrowym ciele zdrowy duch” oraz „lepiej zapobiegać, niż leczyć”.

Jak wygląda frekwencja podczas Pani zajęć? Jak rozkłada się ona w różnych grupach wiekowych?

– Uczę tego przedmiotu w szkole podstawowej oraz branżowej. Co ciekawe, w tej drugiej frekwencja jest wyższa niż w podstawówce. Najwięcej dzieci uczęszcza z klasy czwartej – myślę, że około połowa. W pozostałych klasach nie jest to niestety nawet 25% uczniów. W szkole branżowej wypisały się natomiast jedynie pojedyncze osoby.

Co Pani zdaniem zaważyło na wysokiej skali wypisywania się z tych zajęć?

– W trzech słowach: strach przed nieznanym. Ministerstwo Edukacji nie zrobiło praktycznie żadnej promocji tych zajęć, a nie oszukujmy się – rodziców, którzy realnie się zapoznają z podstawą programową tego przedmiotu jest niewiele. Nawet przy próbie organizacji spotkania informacyjnego dla rodziców odzew z ich strony był praktycznie zerowy. Myślę, że ta polaryzacja

polityczna też zrobiła swoje.

Rządzący nie byli zgodni ze zdaniem opozycji i spowodowało to falę przepychanek słownych, którymi większość z nas jest już zmęczona.

Wątpliwe kompetencje

Brak odpowiedniej promocji, słowne przepychanki wśród polityków, strach przed czymś nieznanym – te powody brzmią bardzo sensownie. Pana Karola, który postanowił wypisać z edukacji zdrowotnej przygotowującego się do egzaminu ósmoklasisty syna, zapytaliśmy o jego motywacje.

Dlaczego zdecydował się Pan wypisać syna z edukacji zdrowotnej? Kiedy podjął Pan tę decyzję?

– O tym, że mój syn nie będzie uczęszczał na te zajęcia, zdecydowałem chwilę przed rozpoczęciem roku szkolnego. Zapoznałem się z podstawą programową. Nie uważam, że cały zamysł jest zły, bo owszem są tam pewne treści, których na lekcji biologii jest za mało, a które są przydatną wiedzą. Mówię tutaj w szczególności o kwestiach zdrowia i profilaktyki. Uważam jednak, że kwestie związane z seksualnością nie są czymś, co powinien być omawiane podczas zajęć



Barbara Nowacka Ministerstwem Edukacji zarządza od grudnia 2023 roku

– O tym, że mój syn nie będzie uczęszczał na te zajęcia, zdecydowałem chwilę przed rozpoczęciem roku szkolnego. Zapoznałem się z podstawą programową. Nie uważam, że cały zamysł jest zły, bo owszem są tam pewne treści, których na lekcji biologii jest za mało, a które są przydatną wiedzą.

lekcyjnych. Nie mam pewności, w jaki sposób nauczyciel te tematy omówi. Co więcej, nie wiem też, jak wyglądają kompetencje osób prowadzących. Zupełnie inna byłaby rozmowa, gdyby na zajęcia do młodzieży przychodzili specjaliści, jak np. dietetyk czy seksuolog. Uczniowie na pewno czuliby większy respekt niż do nauczyciela, z którym mieli inny przedmiot, często nijak mający się do edukacji zdrowotnej.

O jakiej porze miały się odbywać te zajęcia według planu lekcji syna?

– We wtorki od rana, na pierwszej godzinie lekcyjnej. W momencie, kiedy mój syn przygotowuje się do egzaminu ósmoklasisty, każda dodatkowa godzina snu jest na wagę złota. Naprawdę nie jest mało tych wszystkich zajęć w całym planie. Kiedy pojawił się dodatkowy przedmiot ze średnią wartością merytoryczną, wybór, czy syn będzie na to chodził, był prosty.

Jak wygląda frekwencja na tych zajęciach w klasie syna?

– Szczerze mówiąc, nie interesuje mnie to. Nie kierowałem się opinią innych, tylko dobrem własnego dziecka.

Cegiełka do lepszej zmiany
Inaczej na sprawę patrzy pani Martyna, która zdecydowała, że jej córka (uczęszczająca do piątej klasy szkoły podstawowej) będzie uczestniczyć w fakultatywnych zajęciach. Uważa, że ich wprowadzenie to krok ku dobrym zmianom.

Dlaczego zdecydowała się Pani na to, aby córka uczestniczyła w zajęciach? Kiedy podjęła Pani decyzję?

– Decyzję podjęłam jakoś w trakcie wakacji. Słyszałam wcześniej o wprowadzeniu tego novum i trochę doinformowałam się o tym, czego moja córka może się dowiedzieć. Jednym z głównych założeń ma być zachęcanie do prowadzenia zdrowego trybu życia. Moja córka, chociaż nie ma problemu z otyłością, to nie przepada za aktywnością fizyczną, chyba że wliczymy w to scrollowanie palcem po telefonie. Wierzę, że może te zajęcia będą cegiełką do lepszej zmiany w tym kierunku. A, jako że jest w piątej klasie podstawówki, to wątpię, żeby tutaj jakieś inne tematy miały wyjść na pierwszy plan.

O jakiej porze Pani córka ma te zajęcia według planu lekcji?

– W piątki po południu. Córka na szczęście jest w piątej klasie, więc plan nie jest na tyle przeforsowany, żeby ta jedna godzina tygodniowo stanowiła jakąś ogromną różnicę.

Jak wygląda frekwencja na tych zajęciach?

– Z tego, co wiem to plus minus połowa klasy na nie uczęszcza. Mojej córki to jednak nie zniechęca, bo nauczycielka, z którą ma zajęcia, obrała bardziej formułę rozmowy z uczniami, niż stricte wykładową, jak to zazwyczaj bywa.

Niezależnie od różnych opinii jeden sukces tego przedmiotu jest praktycznie przesądzony – dawno żadna zmiana dotycząca oświaty nie wywołała aż tak zagorzałej dyskusji. Kto wie, może edukacja zdrowotna dołączy nawet do listy tematów „zakazanych” przy tegorocznym wigilijnym stole?

Julia ZYGMUNT



W Ministerstwie Edukacji Narodowej mają poważny dylemat

Wojna w Strefie Gazy trwa już ponad dwa lata. Cały świat kieruje swe oczy na obszar konfliktu, a aktywiści podejmują działania na rzecz ofiar wojny. Do Strefy wyrusza flota morska z pomocą humanitarną, która zostaje przechwycona przez żołnierzy izraelskich na wodach międzynarodowych. Dochodzi do licznych demonstracji w europejskich krajach, ludzie coraz odważniej wyrażają swój sprzeciw. Jaka przyszłość czeka Gazę? Czy protesty i działania osób „z zewnątrz” pomogą rozwiązać konflikt?

Konflikt zbrojny pomiędzy Izraelem a organizacją terrorystyczną Hamas wybuchł w październiku 2023 roku i dotyka ludność cywilną regionu po dziś dzień. Z godziny na godzinę rośnie liczba ofiar śmiertelnych. Jak podaje Al-Jazeera, dotychczas mówimy o ponad 67 tysiącach osób, które straciły życie w wyniku tragicznych wydarzeń. UNICEF także alarmuje o dramatycznej sytuacji – według tej organizacji cała populacja Gazy, licząca ponad dwa miliony ludzi, zmaga się z poważnym niedoborem żywności. Co trzecia osoba nie jadła od kilku dni, a 80% wszystkich zgłoszonych zgonów z powodu głodu to dzieci. Według Funduszu dziennie ginie tam 28 dzieci. Według szefa UNRWA, czyli Agencji Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie, każdego dnia ponad 10 dzieci traci jedną lub dwie nogi. Władze izraelskie blokują dostawy żywności, skierowane do potrzebujących. Organizacja Lekarze Bez Granic podkreśla, że wolontariusze coraz częściej są informowani o „braku uprawnień do świadczenia pomocy humanitarnej”. Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych ds. praw człowieka – Volker Turk opisuje konflikt w Strefie Gazy jako obraz „bezskrupułowego zabijania i zadawania cierpienia cywilom”. Bombardowania sprawiły, że ludność cywilna nie ma schronienia.

Ruch światowego sumienia

Szczególnym momentem okazała się pomoc Palestyńczykom i pokazanie światu niebywałej odwagi jest wydarzenie, do którego doszło na przełomie sierpnia i września tego roku. Wtedy bowiem Flotylla Sumud składająca się z ponad 40 łodzi wypłynęła z portów różnych krajów w kierunku Strefy Gazy.

Flotylla sumienia



Setki tysięcy ludzi ze Strefy Gazy straciły wszystko w trakcie dwuletniej wojny

„W środę 1 października izraelska marynarka przechwyciła statki Flotylli Wolności, które znajdowały się 80 mil morskich od celu. Na pokładzie z pomocą humanitarną wkroczyli w pełni uzbrojeni Izraelczycy. Jak podaje CBS News, Benjamin Netanjahu bezpośrednio zatwierdził operacje wojskowe na statkach płynących do Gazy z pomocą humanitarną.

Global Sumud Flotilla, jak można przeczytać na oficjalnej stronie, to skoordynowana i bezprzemocowa flota, składająca się głównie z małych statków wypływających z portów Morza Śródziemnego. Ce-

lem jej działalności jest dostarczenie pomocy humanitarnej oraz przełamanie nielegalnej okupacji izraelskiej w Strefie Gazy. W organizację zaangażowani są obywatele z 57 krajów. Na statkach znajdowało

się około 400 wolontariuszy. Przedstawiciele różnych zakątków świata nie zważali na różnice natury religijnej, narodowościowej czy światopoglądowej – połączyła ich wiara w prawa człowieka, wolność i sprawiedliwość. Wśród nich znaleźli się również Polacy, m.in. poseł z Poznania – Franciszek Sterczewski, Omar Faris – prezes Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Palestyńczyków Polskich, Nina Ptak – prezeska Stowarzyszenia Nomada, oraz Ewa Jasiewicz – brytyjsko-polska dziennikarka i aktywistka.

W środę 1 października izraelska marynarka przechwyciła statki Flo-

tylli Wolności, które znajdowały się 80 mil morskich od celu. Na pokładzie z pomocą humanitarną wkroczyli w pełni uzbrojeni Izraelczycy. Jak podaje CBS News, Benjamin Netanjahu bezpośrednio zatwierdził operacje wojskowe na statkach płynących do Gazy z pomocą humanitarną. Wolontariusze i wolontariuszki znajdujący się na pokładzie zostali zatrzymani i przetransportowani do więzienia Saharonim na pustyni Negew, gdzie trafia także duża część pozbawionych wolności Palestyńczyków. Po kilku dniach niewoli część z nich odesłano do Turcji, a następnie do ich krajów pochodzenia. Wśród nich znalazła się także Greta Thunberg, szwedzka aktywistka. Miała być upokarzana i zmuszana do noszenia izraelskiej flagi. Prezentka tureckiej telewizji Ikbal Gürpınar po uwolnieniu mówiła dla tureckiego programu informacyjnego A Haber: „Traktowali nas jak psy. Zostawili nas głodnymi przez trzy dni. Nie dali nam wody; musieliśmy pić z toalety... Był okropnie upalny dzień”.

Wzrost sprzeciwu

Osoby z całego świata coraz częściej wyrażają swój sprzeciw, skandując hasło „Free Palestine”. W poprzednim miesiącu odbyły się masowe protesty przeciwko okupacji izraelskiej i ludobójstwu, do którego zdaniem protestujących dochodzi w Strefie Gazy. Do hucznych demonstracji doszło między innymi w krajach Europy Zachodniej. We Włoszech odbył się strajk generalny. W niemal 30 miastach ludzie wyszli na ulice w dzień roboczy, pokazując swą solidarność względem ludności palestyńskiej oraz Włochów znajdujących się na pokładzie przechwyconego statku Flotylli Wolności. Jak podaje Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Włoch, było to około 400 tysięcy osób. Natomiast w Barcelonie liczba protestujących wyniosła według policji 70 tysięcy osób, a według organizatorów ponad 300 tysięcy. W Polsce również doszło do protestów, jeden z nich miał miejsce przed budynkiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie. Demonstracja miała skłonić członków rządu do reakcji na zatrzymanie Polaków z Flotylli Sumud. Łącznie z Warszawą, protesty pod hasłem „Solidarni z Palestyną” odbyły się w ponad 20 polskich miastach, a udział w nich wzięło kilka tysięcy osób.

Czy wyprawy humanitarne i demonstracje będą miały jakikolwiek wpływ na rząd Izraela? Ilu cywilów musi jeszcze zginąć, ile dzieci musi cierpieć z głodu, aby zaprzestano okupacji? Są to pytania, które nadal pozostają otwarte, skłaniają jednak do refleksji. Po ostatnich wydarzeniach możemy sobie zadać pytanie, czy społeczeństwo ma jakikolwiek wpływ na decyzje rządzących i czy tak właśnie wyglądają „wolność” oraz „demokracja”?

Nicole KRAKOWSKA



Flotylla Sumud zyskała poparcie obrońców praw człowieka i wolontariuszy z całego świata

Nocna prohibicja, czyli zakaz sprzedaży alkoholu po godzinie 22:00, od kilku lat budzi w Polsce wielkie emocje. Samorządy podejmują coraz odważniejsze decyzje, a rządzący spierają się o granice wolności i bezpieczeństwa obywateli. Zwolennicy zakazu mówią o realnym kroku w stronę poprawy jakości życia, przeciwnicy widzą w nim kolejny przykład nieudolnej regulacji i ingerencji państwa w prywatne wybory. Jaka jest realna przyszłość wprowadzenia tego typu regulacji w Polsce?

Początki tego rozwiązania w naszym kraju sięgają 2018 roku, kiedy wprowadzono możliwość uchwalania nocnej prohibicji przez rady gmin. Pierwsze były miasta turystyczne, jak Sopot czy Zakopane, borykające się z problemem hałaśliwych imprez i nocnych awantur. Z czasem zakaz sprzedaży w godzinach nocnych zaczął pojawiać się również w dużych ośrodkach akademickich. Ostatnio gorąca dyskusja rozgorzała w Warszawie. Jej władze ogłosiły, że rozważają wprowadzenie nocnej prohibicji na terenie całego miasta. Decyzja spotkała się z poparciem części mieszkańców, ale wywołała też gwałtowną krytykę ze strony przedsiębiorców i środowisk liberalnych. Co zaskakujące, wśród krytyków znaleźli się też niektórzy radni PO. Ostatecznie, zamiast powszechnego zakazu, zdecydowano o pilotażu. Nocna prohibicja obejmie jedynie dwie dzielnice: Śródmieście i Pragę-Północ. Taki wybór wywołał kontrowersje. Mieszkańcy innych części miasta poczuli się pominięci i niewysłuchani, a opozycja zarzuciła ratuszowi „polityczny unik”. Argumentów za i przeciw nie da się zbyć prostymi hasłami. Zwolennicy wskazują na dane policji. Jak podała krakowska Komenda Wojewódzka Policji, w dzielnicach objętych zakazem, liczba interwencji związanych z zakłócaniem porządku publicznego spadła o 17% w pierwszym roku obowiązywania regulacji. Przeciwnicy jednak twierdzą, że regulacja nie rozwiązuje problemu alkoholizmu, a jedynie przesuwają go w inne godziny. Czy zatem nocna prohibicja naprawdę ogranicza wolność Polaków?

– W tym zakresie ocenę trzeba uzależnić od tego, którą koncepcję wolności przyjmujemy: wolności od czy wolności do? – mówi nam ekspert w zakresie polityki społecznej, prof. UAM dr hab. Krzysztof



Mieszkańcy miast chcą pozbyć się takich widoków po nocnych libacjach.

”Kwestia nocnej prohibicji dotyka również gospodarki i codziennego życia mieszkańców miast. Właściciele sklepów twierdzą, że zakaz sprzedaży napojów wysokoprocentowych w godzinach 22:00-6:00 to dla nich wymierne straty finansowe, szczególnie w miastach turystycznych.

Hajder z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa. – W ujęciu wolności od, rozumianej jako brak zewnętrznych ograniczeń – państwo czy władze publiczne nie powinny ingerować w sferę prywatnych decyzji jednostki. Z tej perspektywy nocna prohibicja stanowi ograniczenie wolności, uniemożliwia konsumentowi zakup alkoholu w wybranym przez niego czasie. Państwo odbiera więc jednostce pewien zakres swobody wyboru, wprowadzając regulację administracyjną, która nie pozwala na korzystanie z prawa do zakupu legalnego produktu. – wyjaśnia.

Inaczej sprawa wygląda, jeśli spojrzymy na nią z drugiej ze wspomnianych perspektyw. – Przyjmując z kolei wolność rozumianą jako wolność do, oznaczającą możliwość korzystania z prawa do bezpieczeństwa i zdrowego życia, nocna prohibicja może być traktowana jako środek wzmacniający wolność, ponieważ ograniczając nocną dostępność alkoholu, redukuje ryzyko przemocy, wypadków czy uzależnień. Obywatele w ten sposób zyskują większe poczucie bezpieczeństwa w przestrzeni publicznej i możliwość życia w zdrowszym środowisku społecznym. Państwo zatem, wpro-

wadząc regulacje, stwarza warunki do korzystania z wolności w sensie pozytywnym. Na przykład wolność do spokojnego poruszania się po mieście nocą czy wolność od przemocy związanej z nadużyciem alkoholu – dodaje profesor.

Czy to ma sens?

Czy przeciwnicy nocnej prohibicji mają rację, twierdząc, że zakaz może jedynie zwiększyć sprzedaż alkoholu przed 22:00, a problem alkoholizmu pozostanie bez zmian? Prof. Hajder odpowiada: – Badania nad zachowaniami konsumentekmi rzeczywiście wskazują, że osoby uzależnione lub regularnie pijące dostosowują swoje zakupy do obowiązujących regulacji, robiąc zapasy napojów wysokoprocentowych wcześniej. W tym sensie prohibicja nie likwiduje tego problemu jako choroby społecznej, lecz jedynie ogranicza jego widoczność w przestrzeni publicznej w godzinach nocnych – wyjaśnia. Naukowiec dodaje: – Zwolennicy wprowadzenia regulacji zwracają jednak uwagę, że nawet jeśli całkowity poziom konsumpcji alkoholu nie spada znacząco, to zmienia się struktura spożycia. Ograniczenie dostępności alkoholu w nocy obniża ryzyko tzw.

picia impulsowego, charakterystycznego dla powrotów z klubów, imprez czy nagłych decyzji. Badania z krajów skandynawskich pokazują, że nocna prohibicja wiąże się ze spadkiem liczby interwencji policji, bójek ulicznych i wypadków drogowych po alkoholu, co oznacza realne korzyści społeczne i zdrowotne, niezależnie od tego, czy statystyki alkoholizmu się zmieniają.

Kwestia nocnej prohibicji dotyka również gospodarki i codziennego życia mieszkańców miast. Właściciele sklepów twierdzą, że zakaz sprzedaży napojów wysokoprocentowych w godzinach 22:00-6:00 to dla nich wymierne straty finansowe, szczególnie w miastach turystycznych. Według danych Związku Przedsiębiorców Polskich przychody punktów handlowych spadają średnio o 12-15% w ciągu roku po wprowadzeniu ograniczeń. Z kolei mieszkańcy osiedli położonych w pobliżu całonocnych sklepów zauważają poprawę – mniej głośniejszych awantur, wybitych szyb czy śmieci pod blokami. Konflikt interesów staje się więc oczywisty: to, co dla jednych jest krokiem w stronę spokojniejszego życia, dla innych oznacza ryzyko utraty pracy czy konieczność zamknięcia biznesu. Samorządy próbują godzić te sprzeczne perspektywy, wprowadzając regulacje jedynie w wybranych rejonach, co jednak budzi zarzuty o nierówne traktowanie przedsiębiorców i chaos prawny.

W przeprowadzonym we wrześniu sondażu IBRiS dla PAP aż 68% ankietowanych poparło wprowadzenie zakazu nocnej sprzedaży alko-

holu w ich miejscowości. Pomysł ten popiera ponad 80% kobiet, a także 73% osób w wieku 18-29 lat. Z tego powodu debata o nocnej prohibicji nabrała rozpędu także w parlamencie. Lewica przedstawiła projekt ustawy, który zakłada wprowadzenie zakazu sprzedaży alkoholu po 22:00 na terenie całego kraju. Prezydent Nawrocki w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim dla Radia ZET przyznał, że czuje się wolnościowcem i jest za jak najmniejszą liczbą zakazów oraz nakazów, ale jeśli ustawa pojawi się w Pałacu Prezydenckim, to poważnie się zastanowi nad jej podpisaniem. Pojawia się pytanie, czy nocna prohibicja powinna być zarządzana na szczeblu lokalnym, czy jednak ogólnopolskim? Jeśli ogólnopolskim, to czy w najbliższym czasie istnieje szansa na wprowadzenie zmian?

Perspektywy na zmianę

– Z jednej strony, poziom lokalny pozwala na dostosowanie rozwiązań do specyfiki danej gminy czy miasta. Inne są przecież potrzeby małych miejscowości, a inne dużych ośrodków akademickich czy turystycznych. Jednak pozostawienie pełnej swobody samorządom prowadzi do sytuacji, w której regulacje są fragmentaryczne, a obywatele przenoszą konsumpcję i zakupy alkoholu do sąsiednich miejscowości, co zmienia strukturę turystyki nocnej i rodzi nowe zagrożenia, np. wzmożony ruch nocny, przestępczość skupiona w „enklawach sprzedaży” – mówi prof. Hajder. Ekspert wyjaśnia, jak według niego powinny wyglądać proponowane rozwiązania prawne. – Dlatego w moim przekonaniu takie regulacje powinny mieć charakter ogólnokrajowy. Dopiero jednolite przepisy pozwalają uniknąć efektu „przerzucania problemu” i zapewniają spójność działań profilaktycznych. Szansa na wprowadzenie ogólnopolskiej nocnej prohibicji zależy od woli politycznej. W Polsce temat ten wywołuje podziały nie tylko między partiami, ale także wewnątrz ich struktur. Część polityków widzi w ograniczeniach narzędzie walki z patologiami społecznymi, podczas gdy inni widzą w nich przejaw nadmiernej ingerencji państwa w życie obywateli i działalność gospodarczą. W rezultacie wydaje się, że obecnie brakuje większości parlamentarnej, która mogłaby przeprowadzić taką zmianę – tłumaczy.

Choć kultura picia alkoholu w Polsce powoli się zmienia, a coraz więcej osób świadomie ogranicza jego spożycie, wciąż dominuje przekonanie, że bez kieliszka trudno wyobrazić sobie ważne uroczystości – od chrztu i komunii po ślub. Nocna prohibicja wpisuje się więc w szerszą debatę o tym, jak redefiniować nasze społeczne przyzwyczajenia i sposób myślenia o napojach wysokoprocentowych.

Oliwia MAZIOPA

Masowe protesty, zamieszki i zbrojne starcia z służbami bezpieczeństwa. Nad Azją Południową i Południowo-Wschodnią krąży widmo rewolucji. Od Nepalu po Filipiny miliony młodych domagają się poszanowania zasad demokracji i lepszego standardu życia. Od 2021 roku wśród lasów Mjanmy rewolucjoniści walczą z juntą wojskową. Idealizm zubożałego pokolenia Z staje naprzeciw autorytaryzmowi i korupcji. Czy mamy do czynienia z Azjatycką Wiosną? Jak walka o przyszłość Azji wpłynie na losy demokracji?

Jak rodzą się rewolucje? Co jest pierwszą iskrą pożogi? Wolność czy chleb? Wydarzenia na południu i południowym wschodzie Azji dowodzą, że pragnienie demokracji i potrzeba poprawy bytu są ze sobą nierozdzielnie związane. We wrześniu media na całym świecie obieły relacje z narastających protestów w Nepalu. Przedstawiane początkowo jako newsowy miczulek. – Lokalny rząd ograniczył dostęp do mediów społecznościowych, a „internetowe pokolenie Z demonstruje” – nepalskie protesty stały się soczewką skupiającą w sobie problemy i aspiracje młodych ludzi z całego regionu.

Kraj w ogniu buntu

Demonstracje w stołecznym Katmandu i innych miastach Nepalu szybko przeistoczyły się w gwałtowne powstanie, które zmiotło dotychczasowy porządek polityczny kraju. 9 września premier Nepalu, Khadga Prasad Sharma Oli pod wpływem zamieszek został zmuszony do złożenia dymisji i ucieczki z kraju. Protestujący spalili zarówno budynki parlamentu i ministerstwa zdrowia, jak i prywatne rezydencje czołowych polityków. W kilku prowincjach szturmem zdobyli więzienia, uwalniając osadzonych. Armia Nepalu została zmuszona do podjęcia negocjacji z nieformalnymi przywódcami młodzieżowej rewolucji. Symbolicznym stał się wybór tymczasowego premiera poprzez głosowanie rewolucjonistów na platformie Discord. Została nim Sushila Karki, była pierwsza prezes Sądu Najwyższego Nepalu.

Nepalczyki nie są odosobnieni na tle swojej części świata. Od lutego regularnie na ulice wychodzą Indonezyjczycy, których walka nasiliła się w sierpniu. Wydarzenia z Nepalu

Sen o Azjatyckiej Wiośnie



Nepalskie protesty Pokolenia Z stały się inspiracją dla milionów ludzi w Azji i poza nią

„Bieda i brak perspektyw wzbudziły w młodych ludziach Azji frustrację. Ich gniew wywołują przypadki korupcji, hulastycznego stylu życia i autorytaryzmu elit. Sierpniowe protesty w Indonezji zostały wywołane przez propozycje podwyżek podatków gruntowych, które nałożyły się w czasie z podwyżką świadczeń dla parlamentarzystów. Mieli oni zyskać równowartość 3000 dolarów, co na pozór nie jest dużą kwotą. Jednak przeciętna miesięczna pensja w Indonezji wynosi około 200 dolarów.

zainspirowały studentów i młodzież Timoru Wschodniego, Filipin oraz Malediwów. W obecnej fali protestów można dostrzec echo zeszłorocznej rewolucji w Bangladeszu i protestów przeciw juncie wojskowej w Mjanmie w 2021 roku, z których zrodził się ruch oporu, walczący z nią w wojnie domowej. Co pcha miliony młodych ludzi z różnych krajów do walki ze starym porządkiem, częstokroć z narażeniem się na ryzyko śmierci? I czy można mówić o Azjatyckiej Wiośnie, która trwale odmieni oblicze tej części świata?

Czara goryczy pokolenia Z

W większości krajów rozwiniętych, w tym w Polsce, ludzie należący do pokolenia Z (roczniki 1997-2012) stanowią stosunkowo niewielką część swoich społeczeństw, zwłaszcza w porównaniu do pokoleń ich rodziców i dziadków. W krajach rozwijających się, do których należą państwa Azji Południowej i Południowo-Wschodniej, sytuacja jest diametralnie inna. W ogarniętym rewolucją Nepalu mediana wieku wynosi 25 lat. Globalne Południe

przeżyło od przełomu wieków eksplozję demograficzną powiązaną z szybkim wzrostem gospodarczym i dynamicznie wzrastającą liczbą osób z wykształceniem wyższym i średnim. Przewaga demograficzna i edukacyjna młodych nie przekłada się jednak na satysfakcję z życia, a wręcz napędza obecną falę protestów. Dzieje się tak, ponieważ tamtejsze gospodarki nie są w stanie zapewnić młodym ludziom nie tyle nawet zatrudnienia przystającego do zdobytego wykształcenia, co wręcz jakiegokolwiek stabilnej pracy. W wielu krajach ogarniętych protestami bezrobocie wśród młodych przekracza 20%, a ponad 70% faktycznej siły roboczej pracuje w szarej strefie. Przeciętny człowiek zmuszony jest godzić się z wyzyskiem bądź szukać szczęścia za granicą. Istotnym źródłem dochodu dla milionów gospodarstw domowych stały się przelewy od krewnych z zagranicy oraz zlecenia na zdalnych kontraktach. Dlatego odcięcie dostępu do mediów społecznościowych, a tym samym częstokroć jedyne źródło dochodu całych rodzin, wywołało bunt nepalskiej ulicy.

Powszechne problemy gospodarcze zostały zaognione przez pandemię COVID-19, która uderzyła w gospodarki krajów Azji ze szczególną mocą. Przyspieszyło to narastające rozwarstwienie społeczne. Ludzie, którzy zyskali nadzieję na lepszy los dzięki edukacji, poczuli się oszukani przez system. W krajach regionu Azji Południowej i Południowo-Wschodniej władzę sprawują częstokroć oderwane od codzienności zwykłych ludzi elity polityczne i gospodarcze. Część z nich, np. w Indonezji, wyłoniła się na drodze fali demokratyzacji z lat 90. XX wieku i początku XXI wieku. W innych przypadkach, jak w niepodległym od 2002 roku Timorze Wschodnim, władzę nadal dzierżą rewolucjoniści, często traktujący wywalczone przez siebie kraje jako dobro swoje i swoich dzieci. Niechlubnym przykładem takich tendencji była próba przywrócenia przez rząd premierki Bangladeszu Sheikh Hasiny preferencyjnych kwot miejsc na uczelniach wyższych przeznaczonych dla potomków weteranów wojny o niepodległość Bangladeszu z 1971 roku. Była to iskra, która doprowadziła do wybuchu poprowadzonej przez studentów rewolucji, będącej z kolei wzorem dla obecnych protestów w Azji.

Nadejdzie Autorytarna Zima?

Bieda i brak perspektyw wzbudziły w młodych ludziach Azji frustrację. Ich gniew wywołują przypadki korupcji, hulastycznego stylu życia i autorytaryzmu elit. Sierpniowe protesty w Indonezji zostały wywołane przez propozycje podwyżek podatków gruntowych, które

nałożyły się w czasie z podwyżką świadczeń dla parlamentarzystów. Mieli oni zyskać równowartość 3000 dolarów, co na pozór nie jest dużą kwotą. Jednak przeciętna miesięczna pensja w Indonezji wynosi około 200 dolarów. Ulice Dżakarty i innych miast kraju ogarnęły gwałtowne protesty, które zmusiły władzę do wycofania się z najbardziej niepopularnych działań. W sąsiednim Timorze Wschodnim w połowie września protesty przeciwko planom zakupu ponad 60 nowych samochodów dla członków parlamentu wstrząsnęły stołecznym Dili. Władze Timoru ugięły się, likwidując budżet celowy na zakup pojazdów i godząc się na zniesienie diety dla byłych posłów. 20 września na ulice wyszli mieszkańcy Malediwów, walczący o zniesienie nowych praw ograniczających wolność prasy i autonomię samorządów lokalnych. Dzień później setki tysięcy Filipińczyków protestowało, aby przeciwstawić się korupcji przy projektach infrastruktury mającej przeciwdziałać powodziom. Data protestu była symboliczna, ponieważ przypadała na rocznicę wprowadzenia w Filipinach stanu wojennego w 1972 roku. Wprowadził go Ferdinand Marcos, ówczesny prezydent i ojciec obecnego prezydenta, Ferdinanda Marcosa Jr. Władze zareagowały stworzeniem niezależnej komisji ds. infrastruktury i przetasowaniem stanowisk w prezydium filipińskiego parlamentu.

Szybkość, z jaką protesty pokolenia Z rozlały się w regionie Azji Południowej i Południowo-Wschodniej, może szokować. Pojawił się nawet termin Azjatycka Wiosna, który stanowi oczywistą analogię do europejskiej Wiosny Ludów z roku 1848 i Arabskiej Wiosny z lat 2010–2012. Czy to porównanie jest jednak uzasadnione? Do tej pory jedynie w Nepalu doszło do faktycznego upadku rządu na wzór rewolucji sprzed roku w Bangladeszu. W pozostałych krajach władze idą na znaczące, lecz nie fundamentalne ustępstwa. Trudno obecnie przewidywać, czy protesty w Azji przerodzą się w rewolucję. Historyczne porównania sugerują jednak, iż może dojść do autorytarnej reakcji ze strony zagrożonych elit. W obliczu problemów strukturalnych, takich jak masowe bezrobocie, których nie jest w stanie szybko rozwiązać nawet najlepsza władza, stłumienie niezadowolonych siłą może się niestety okazać kuszącą alternatywą. Tymczasem na ulice wychodzą ludzie spoza Azji. Maroko, Madagaskar, Paragwaj i Peru stają się areną protestów pokolenia Z, inspirowanych sukcesem rewolucji w Nepalu. Jedynie czas pokaże, czy ludzkie pragnienie wolności zwycięży autorytaryzm i korupcję.

Oskar KMAK

Norweska klęska populizmu?

W przeprowadzonych niedawno wyborach do norweskiego parlamentu – Stortingu, sukces odniosły partie bloku centrolewicy. Dla niektórych, zważywszy na przedwyborczą kampanię i polityczne sensacje, jakie miały miejsce podczas ostatniej kadencji pod rządami socjaldemokratów, wynik mógł być zaskoczeniem. Kto tak naprawdę jest zwycięzcą, a kto przegranym głosowania? Czy Jonas Gahr Støre na pewno ma powody do radości? Sprawdzamy jak wygląda scena polityczna w tym mroźnym kraju.

Wześniejsze wybory parlamentarne w Norwegii zakończyły się triumfem rządzącej od czterech lat socjaldemokratycznej Partii Pracy. Dla centrolewicowego ugrupowania ponowna wygrana była niewątpliwym sukcesem. Uzyskana liczba mandatów jest jeszcze wyższa niż w poprzednich wyborach, gdy Arbeiderpartiet zdobyła władzę po latach rządów konserwatystów. Łączna liczba 53 miejsc w norweskim parlamencie najprawdopodobniej zapewni premierowi Jonasowi Støre drugą kadencję z rządu na stanowisku. Korzystny wynik wyborczy Partii Pracy oznacza, iż głosowanie zakończyło się faktycznym sukcesem ugrupowań progresywnych. Zdobywając 88 miejsc, blok centrolewicy uzyskał przewagę nad ugrupowaniami konserwatywnymi i prawicowymi, którym przypadło 81 mandatów.

Kontrowersyjna kadencja

Zwycięstwo Partii Pracy nie było jednak pewne. Sondaże przed wyborami ukazywały częste spadki poparcia dla rządzącego ugrupowania. Może wynikać to z faktu, iż mijająca kadencja rządów Jonasa Støre cechowała się wieloma skandalami. Jedną z nich były kontrowersje wokół ministerstwa badań i szkolnictwa wyższego, Sandry Borch. W 2024 roku w norweskich mediach, na czele z E24 i Aftenposten, ukazała się informacja, że Borch dokonała daleko idącego plagiatu w swojej pracy magisterskiej. Kilka miesięcy później, kolejny skandal, wywołany informacjami o plagiacie, wybuchł wokół norweskiej ministerki zdrowia Ingvald Kjer-



Po rozpadzie koalicji Støre wyznaczył do rządu byłe sekretarza NATO

kol. Wcześniej z kolei polityczną aferę spowodowała informacja dotycząca ministerki spraw zagranicznych Anniken Huitfeldt. Mąż polityczki miał handlować akcjami firm, na których kurs mogła mieć wpływ Huitfeldt. Chodziło przede wszystkim o firmy zbrojeniowe i rybackie. Afera ta była szeroko komentowana. Niedługo po niej Partia Pracy po raz pierwszy od 1924 roku przegrała wybory samorządowe w Norwegii.

W styczniu doszło do rozpadu koalicji rządzącej. Premier Støre zapowiedział wtedy, że kraj wdroży dyrektywy Unii Europejskiej, dotyczące energii. W odpowiedzi na tę wiadomość minister finansów Trygve Vedum z eurosceptycznej Partii

Warto zaznaczyć, że mocnemu wzrostowi poparcia dla Partii Postępu towarzyszył znaczny spadek poparcia dla dotychczasowego lidera wśród ugrupowań prawicowych, konserwatywnej partii Høyre.

Centrum ogłosił, że jego ugrupowanie odchodzi z rządu. Warto zaznaczyć, że Jonas Støre w nowym gabinecie, utworzonym po odejściu Partii Centrum, na stanowisko ministra finansów wyznaczył popularnego w Norwegii Jensa Stoltenberga, byłego sekretarza generalnego NATO. Oprócz politycznych skandali ważnym wątkiem w przedwyborczej kampanii wyborczej była kwestia norweskiej ropy naftowej i

gazu ziemnego. Państwo to jest jednym z największych eksporterów tych surowców na świecie i największym eksporterem gazu do Unii Europejskiej. Populistyczna Partia Postępu popiera dalszą eksploatację złóż. Temat wywoływał podziały w bloku ugrupowań lewicowych. Partia Pracy i Partia Centrum wspierają dalsze wydobywanie, z kolei Zieloni i Partia SV postulują odejście od wydobywania gazu i ropy.



Liderka Partii Postępu pełniła już wiele ról w koalicyjnych rządach, m.in. ministerki zdrowia

Fala populizmu?

Mimo zwycięstwa formacji lewicowych, wielu komentatorów skupia się na znaczącym wzroście poparcia dla populistycznej Partii Postępu. Ugrupowanie uzyskało dwukrotnie wyższy wynik niż w poprzednich wyborach i zajęło drugie miejsce, zaraz za Partią Pracy. Jest ono znane ze swoich skrajnie antyimigranckich poglądów. Jego przewodnicząca, Sylvi Listhaug, spotyka się z krytyką swych wypowiedzi na temat migracji. W 2018 roku, kiedy pełniła funkcję ministerki sprawiedliwości, opublikowała kontrowersyjny post oskarżający Partię Pracy o przedkładanie interesów terrorystów nad interesy obywateli Norwegii. Listhaug spotkała się z silną krytyką swoich słów. To właśnie obóz młodzieżowy Partii Pracy był celem brutalnego ataku terrorystycznego Andersa Breivika w 2011 roku. Fakt ten spotęgował krytykę poczyną ówczesnej ministerki sprawiedliwości. Po aferze zrezygnowała ona ze stanowiska, gdy jedna z partii zapowiedziała zebranie poparcia dla wotum nieufności przeciwko niej.

Wielu ekspertów wskazuje, że wysoki wynik Partii Postępu mógł wynikać z sytuacji ekonomicznej i niezadowolonych Norwegów z polityki ekonomicznej rządu. W wywiadzie dla European Centre for Populism Studies doktora Lise Bjånesøy stwierdziła, że: „kwestie ekonomiczne, takie jak podatek od majątku i koszty życia, były kluczowe w tych wyborach”. Wywodząca się z Uniwersytetu w Bergen naukowiec powiedziała też, że „Partia Postępu zdecydowanie sprzeciwia się marnowaniu pieniędzy podatników. Przyciąga tym samym wyborców niezadowolonych z Partii Pracy i konsoliduje poparcie wśród osób sfrustrowanych rosnącymi kosztami utrzymania”.

Warto zaznaczyć, że mocnemu wzrostowi poparcia dla Partii Postępu towarzyszył znaczny spadek poparcia dla dotychczasowego lidera wśród ugrupowań prawicowych, konserwatywnej partii Høyre. Uzyskała ona o 12 miejsc mniej niż w wyborach w 2021 roku i jest to jej najgorszy wynik od 2005 roku. Po wyborach jej dotychczasowa przewodnicząca Erna Solberg, ogłosiła, że odejdzie ze stanowiska, które zajmowała przez ponad 20 lat. Mimo że wybory zakończyły się sukcesem norweskiej lewicy, Arbeiderpartiet musi zmierzyć się z kontrowersjami i niską popularnością swojego premiera. Problematiczny dla Jonasa Støre może okazać się fakt, że posiadający większość blok formacji centrolewicowych składa się z wielu różnych ugrupowań. Z pewnością nadchodząca kadencja nie będzie dla norweskich decydentów łatwa.

Leo TARGONI



„Monster” ze względu na przesłanie cieszy się ponadczasową popularnością

Czy każdy człowiek zasługuje na życie? Czy można zabić w imię sprawiedliwości? Czy człowieczeństwo można utracić na zawsze? Serial „Monster” po ponad 20 latach od premiery nadal wystawia moralność widzów na próbę. Powracamy do kultowego anime na podstawie mangi Naokiego Urasawy.

Lekarz i bezimienny potwór

„Ostatecznie warto pamiętać, że „Monster” nie jest serialem dla każdego widza. Ta opowieść ma zabość odbiorcę, zmusić go do refleksji i zapaść w pamięci na lata. To ostatnie udaje jej się naprawdę dobrze. Powolna narracja buduje napięcie, stopniowo analizując ludzką naturę. Nie ma tu prostych odpowiedzi na moralne dylematy, ale ostatecznie produkcja nagradza cierpliwość widza filozoficzną głębią.

Akcja serialu rozpoczyna się w 1986 roku w niemieckim mieście Düsseldorf. Główny bohater, japoński neurochirurg Kenzo Tenma, ma przed sobą obiecującą przyszłość. Jest szanowany przez współpracowników, a jego medyczna kariera szybko się rozwija. Pewnej nocy do szpitala trafia postrzelony w głowę chłopiec – Johan Liebert. Tenma ma już rozpocząć operację, ale wtedy przywieziony zostaje burmistrz Düsseldorfu. Stan mężczyzny, mimo że nie aż tak krytyczny, również wymaga pilnej interwencji neurochirurga. Dyrekcja próbuje zmusić Kenzo do zajęcia się politykiem, ponieważ pomogłoby to w uzyskaniu dodatkowych funduszy dla szpitala. Bohater postępuje jednak zgodnie z własnym sumieniem i postanawia operować chłopca. Ostatecznie życie Johana zostaje uratowane, ale ten już kilka dni później znika bez śladu. Dopiero po latach doktor odkryje, że ocalał wtedy bezwzględny potwór. Dorosły Johan powróci, aby zrzucić winę za serię morderstw na swojego wybawcę oraz wystawić jego moralność na ekstremalną próbę.

Wartość życia

Przedstawiony przeze mnie fragment jest zaledwie początkiem wyjątkowo długiej (bo liczącej aż 74 odcinki) historii. Nie jest to jednak typowy kryminał, ale przede wszystkim thriller psychologiczny. Podstawą fabuły jest pogoń Tenmy za Johanem,

jednak intensywniej akcji czy nawet samego antagonisty jest na ekranie zaskakująco niewiele. Przez cały czas wyczuwalna jest jednak jego złowroga obecność i wpływ na wydarzenia. Serial skupia się na podróży Kenzo po Niemczech oraz Czechach w drugiej połowie lat 90. XX wieku, podczas której poznaje wielu ludzi, walczy z konsekwencjami zła oraz odkrywa przeszłość Johana. Ten wciąż pozostaje nieuchwytny, a w oczach policji jest jedynie wygodną wymówką ich głównego podejrzanego, którym jest właśnie Kenzo Tenma.

Jedną z największych zalet „Monster” stanowi postać nieuchwytnego Johana Lieberta. Antagonista jest młodym mężczyzną o anielskiej urodzie, którego największą bronią jest umysł. Chociaż wielokrotnie zabija bezpośrednio, tak w większości przypadków wykorzystuje mniej oczywiste metody. Jako sprawny manipulator skutecznie podlega innych ludzi do morderstw lub wprost nakłania swoje ofiary do popełnienia samobójstwa. Z pozoru brzmi to mało wiarygodnie, ale Naoki Urasawa poradził sobie z tym wyzwaniem zaskakująco dobrze. Manipulacje Johana wydają się przerażająco prawdziwe, gdy ten wyciąga na wierzch najgłębiej skrywane traumy i lęki innych postaci. Co interesujące, nie działa on dla pieniędzy czy sadystycznej przyjemności. Jego motywacje są w dużej mierze abstrakcyjne i związane ze światopoglądem. Johan przejawia cechy ni-

hilisty; jasno wskazuje swój brak wiary w obiektywną wartość i cel ludzkiego życia. Nie wyznaje żadnej wiary czy moralności. Nie wierzy nawet we własną tożsamość. Nie bez powodu określany jest kilkakrotnie jako „bezimienny potwór”. Zaryzykuję nawet stwierdzenie, że Johan wyznaje wiarę w pustkę. Jednocześnie aktywnie pragnie zniszczyć poczucie sensu życia w innych, czyniąc z tego paradoksalnie swój własny cel. Doktor Tenma z kolei jest ideologicznym przeciwnym; dla niego życie każdego człowieka jest cenne i nawet najgorsi nie zasługują na śmierć. To właśnie ten konflikt napędza całą fabułę. „Monster” nie jest tylko starciem dwóch osób, ale przede wszystkim wojną idei. Prawda jest taka, że Johan zdaje się pragnąć śmierci z rąk Tenmy. Nawet świadomie daje mu ku temu liczne okazje. Jednak, czy to nie oznaczałoby jego zwycięstwa? Czy nie byłby to ostateczny dowód na to, że niektórzy ludzie zasługują na śmierć? Czy wartość życia jest względna, skoro nawet lekarz gotów byłby zabić w imię sprawiedliwości?

Nie tylko morderca

„Monster” nie opowiada wyłącznie o filozoficznym pojedynku Johana i Tenmy. Autor podczas tworzenia fabuły nie unikał tematów społecznych, psychologicznych, a nawet historycznych. Te ostatnie odgrywają rolę nie tylko tła, ale aktywnie napędzają całą opowieść. Urasawa sprytnie wyko-

rzystuje zimnowojenną przeszłość Europy do podkreślenia, że zło nie bierze się z próżni. Nawet ktoś taki jak Johan nie urodził się zły. Kto jest wtedy prawdziwym potworem? Morderca, jego twórcy, a może sama idea braku wartości ludzkiego życia? Może ktoś jeszcze inny? „Monster” pozostawia w tej kwestii szerokie pole do interpretacji.

Ogromną rolę i sporą zaletę produkcji stanowią liczne postacie poboczne. Pozornie mało istotne osoby dostają dla siebie całe odcinki, w których mogą rozwinąć skrzydła. Z początku może wyglądać to na niepotrzebne rozciąganie fabuły, ale ostatecznie wszystkie wątki łączą się w jedną i niezwykle spójną historię. Każdy bohater wnosi swoją perspektywę w wydarzenia. Dla przykładu prowadzący śledztwo inspektor Lunge ślepo wierzy w racjonalizm, odrzucając przez to istnienie kogoś takiego, jak Johan. Natomiast inny bohater, Grimmer, pomimo tragizmu swojej postaci, nadal potrafi odnaleźć w sobie człowieczeństwo. „Monster” mnogością wątków przypomina bardziej wyjątkowo długą powieść niż zwykły serial kryminalny.

Nieoczywiste rozwiązania

Nie można pominąć aspektów audiowizualnych produkcji. „Monster” na tle wielu innych anime wyróżnia się realistyczną animacją i kolorystycznie stonowaną stylistyką. Bohaterowie nie mają stereotypowo powszechnych dla tego gatunku dużych oczu, a w ich ekspresji nie znajdziemy kreskówkowej przesady. Nie ma tutaj komiksowych efektów, lecz są subtelne gesty oraz gra światłem i kolorami. Po animacji widać, że nie jest to najnowsza produkcja, ale wciąż prezentuje się ona dobrze. Niestety cierpi na jeden zauważalny problem; świat w tle często wydaje się pusty. Ulice dużych europejskich miast czy zabytkowe dworce kolejowe narysowane są pięknie, ale poza bohaterami

nikogo tam nie ma. Oczywiście nie jest tak zawsze, ale zdarza się to zdecydowanie zbyt często. Zwłaszcza że ta pustka nie buduje klimatu, lecz właśnie wyrwa z immersji. W warstwie dźwiękowej „Monster” prezentuje najwyższy poziom. Napięcie budowane jest przez długie okresy ciszy. Często wydarzeniom towarzyszy jedynie szum wiatru i stukot kroków. Jednocześnie w kluczowych momentach nie brakuje też doniosłej muzyki czy nawet chóru.

Jednym z mniej oczywistych atutów serialu jest wyjątkowa staranność w ukazaniu Europy. Wiele przedstawionych miejsc jest wiernie przeniesiona z prawdziwego świata. Nie tylko architektura jest zgodna z rzeczywistością, ale też takie elementy, jak posiłki spożywane przez bohaterów czy realia społeczne. „Monster” na tle innych produkcji wyróżnia już sam wybór miejsca akcji. W przeciwieństwie do większości anime fabuła nie rozgrywa się w Japonii czy światach czysto fikcyjnych, lecz w niemieckich oraz czeskich miastach. Ten niecodzienny wybór pozwolił na stworzenie świata autentycznych detali, tworzących charakterystyczny klimat. Mimo to, nie stanowi to przeszkody w opowiadaniu uniwersalnej opowieści o ludzkiej naturze.

Ostatecznie warto pamiętać, że „Monster” nie jest serialem dla każdego widza. Ta opowieść ma zabość odbiorcę, zmusić go do refleksji i zapaść w pamięci na lata. To ostatnie udaje jej się naprawdę dobrze. Powolna narracja buduje napięcie, stopniowo analizując ludzką naturę. Nie ma tu prostych odpowiedzi na moralne dylematy, ale ostatecznie produkcja nagradza cierpliwość widza filozoficzną głębią. Dzieło Naokiego Urasawy, pomimo przynębiającego klimatu i trudnej tematyki, daje nadzieję, że można wygrać z własnym potworem.

Jakub SARNOWSKI

Czy zastanawialiście się kiedyś, jak smakuje ludzkie mięso? A może czujecie się zbulwersowani, że takie pytanie w ogóle wybrzmiało? Przecież to oczywiste, że nigdy o tym nie myśleliście... prawda?

Fikcja ma jednak to do siebie, że z wyrozumiałością pozwala nam na odkrywanie nowych światów, eksplorowanie niekiedy skomplikowanych moralnie idei. Zajrzyjmy więc do rzeczywistości, w której każdy z nas mógłby stać się potencjalnym delikatesem.

W dzisiejszych czasach lubimy stawiać sobie czytelnicze wyzwania, sprawdzać własne granice, szczególnie kiedy eskapizm bywa niewystarczający. Wielu z nas sięga po „Rok 1984” czy „Opowieść podręcznej” już nie tylko w celu zapoznania się z klasyką literatury, ale po to, by być świadomym mechanizmów zachodzących w realnym świecie. Chcemy rozpoznawać język manipulacji, móc przewidzieć opresyjne działania władzy, umieć na nie zareagować lub chociaż czuć większą obywatelską sprawczość. W dystopijnej powieści „Wyborny trup” spod pióra argentyńskiej pisarki Agustiny Bazterrici spotykamy się z rzeczywistością, w której na pierwszy rzut oka nie widzimy (lub bardzo nie chcemy zobaczyć) odbicia tej własnej. Autorka umieszcza czytelnika w niewyobrażalnych okolicznościach znormalizowanego kanibalizmu i skrajnej dehumanizacji. Marco, główny bohater, jest rzeźnikiem w jednej z ubojni, który po Przemianie przebrzmiał się z zabijania zwierząt na robienie tego samego z ludźmi.

Zwierzęce mięso zostało określone jako niebezpieczne po tym, gdy rząd ogłosił, iż odnaleziono w nim śmiertelnośnego wirusa i nie nadaje się już do spożycia. Panika rosła, a oficjalne informacje z czasem donosiły, że nawet przebywanie w pobliżu domowych pupili grozi zakażeniem. Pozbyto się więc zarówno wszystkich hodowlanych, jak i towarzyszących istot, które dotąd stanowiły tak istotny element rzeczywistości. Wskutek przemian i stopniowej utraty moralności ludzkość podzieliła się wewnętrznie na dwie grupy – konsumujących i konsumowanych. Marco doskonale pamięta jednak świat sprzed Przemiany. W szczególności swojego ojca, który kazał mu nie wierzyć rządowej propagandzie, przez co wydaje się postacią wrażliwszą, bardziej świadomą powstałego wypaczenia.

Metaliczny smak dystopii



Powieść „Wyborny trup” przenosi nas w mroczny świat refleksji

” W początkowych rozdziałach Bazterrica wprowadza odbiorcę w brutalną, amoralną rzeczywistość za pomocą doskonale skonstruowanej ekspozycji – odsłaniającej wystarczająco dużo, aby zatopić się w krwawej posoce okrucieństwa, pozostawiającej nadal przestrzeń do interpretacji.

Ale czy w świecie pozbawionym moralności można pozostać jedynie biernym obserwatorem?

Rzeźnik udręczony

W początkowych rozdziałach Bazterrica wprowadza odbiorcę w brutalną, amoralną rzeczywistość za pomocą doskonale skonstruowanej ekspozycji – odsłaniającej wystarczająco dużo, aby zatopić się w krwawej posoce okrucieństwa, pozostawiającej nadal przestrzeń do interpretacji. Opowieść stawia w centrum postać Marco i jego indywidualne przeżycia, ilustrując na ich przykładzie zachodzące w społeczeństwie zmiany i panujące w nim nastroje. Od samego początku bohater kreowany jest na człowieka o nieco mniejszym poziomie zepsucia, dzięki czemu czytelnikowi łatwiej się z nim utożsamiać. Mężczyzna zauważa rażącą niesprawiedliwość w procesie wyboru „sztuk” na ubój (ludzi przerabianych na mięso pod groźbą kary nie wolno nazywać „ludźmi”), wydaje się nie zgadzać na ich obrzydliwe odczłowieczenie i po Przemianie przechodzi na wegetarianizm. Praca w ubojni oraz obowiązek dostarcza-

nia najlepszych okazów do klientów nie pozwala mu jednak na zachowanie kompletnej odrębności od systemu. Mimo żalu i wyrzutów sumienia wykonuje więc powierzone mu zadania, próbując się nie sprzeciwiać, do momentu, w którym jest to absolutnie konieczne. Z początku łatwo oceniać nam człowieka tak bezpośrednio przyczyniającego się do pielęgnowania wymyślnych form opresji. Przychodzi to wręcz automatycznie i odruchowo. W miarę postępu fabuły dowiadujemy się jednakże wielu istotnych i nierzadko budzących współczucie szczegółów, dotyczących Marco. Wręcz nieświadomie dostosowujemy wówczas swoją moralność do świata przedstawionego.

Słowo na „M”

Pojęcie moralności przy lekturze „Wybornego trupa” wydaje się najbardziej istotnym. Jak całkiem trafnie mówi opis na stronie lubimyczytac.pl – „to dystopijna opowieść o moralnym upadku ludzkości”. Spróbujmy jednak spojrzeć na temat z nieco innej strony i przyjmijmy, że powieść ta jest doskonałym testem naszej własnej moralności oraz odporności

na manipulację. Podchodząc do czytania i zagłębiając się w koszmar, czujemy, jak bardzo odrzuca nas metaliczny posmak kanibalistycznego tabu. Styl pisania Bazterrici jest wystarczająco obrazowy, by momentami wywołać u odbiorcy odruch wymiotny czy zmusić do odłożenia lektury na kilka minut – przy naprawdę wielu fragmentach musiałam wziąć głęboki oddech i upewnić się, czy dobrze przeczytałam. Jest to całkiem szokujące zetknięcie się ze światem, który media niespecjalnie lubią nam pokazywać, a na pewno nie w takiej formie.

Zerknijmy chociażby na Hannibala Lectera w „Milczeniu owiec”. Możemy określić go mianem (oprócz psychopaty): filantropa, wielbiciela sztuki, smakosza oraz naprawdę elokwentnego mężczyzny. Jeszcze korzystniej przedstawiono Lectera w „Hannibalu” produkcji NBC z Madsem Mikkelsenem w roli głównej. Tam nie dość, że jest przystojny, uwikłany w skomplikowaną homoerotyczną relację z dektetywem, okrutnie tajemniczy, to jeszcze serwuje potrawy godne wyróżnienia gwiazdką Michelin. No i jest przystojny. W „Wybornym trupie” brak jednak pięknych, eleganckich ludzi i wnętrza, a aura tajemniczości czy niezwykłości została zastąpiona rozdzierającym krzykiem umierających „sztuk” czy złowieszczy rechem ich właścicieli, przeliczających tylko wpływy ze sprzedaży mięsa. Choć elementy te wydają się uniemożliwiać czytelnikowi zrozumienie wątpliwych moralnie

działań bohaterów powieści, mimo wszystko, zaciekawiony brnie on dalej. To niezauważalne dostosowanie swojej moralności do świata przedstawionego, o którym wspominałam wcześniej, faktycznie w końcu przychodzi. W pewnym momencie pocujemy ukłucie w sercu na wspomnienie Marco o ojcu lub przedwcześnie zmarłym synu, docenimy jego dbałość o kobietę, którą otrzymał w prezencie od firmy. Zauważymy, jak odświeżająca jest jego desperacka chęć zachowania człowieczeństwa. I wtedy zaczniemy zapominać o wykonywanej przez niego pracy, przyzwyczajamy się nieco do barwnych opisów okrucieństwa, może nawet utożsamimy się w jakimś stopniu z osobistym dramatem Marco. Staniemy się trochę zmanipulowanymi obserwatorami z tylko odrobiną wypaczoną moralnością. Ale przecież co może pójść nie tak – książka jest fikcyjna, a Marco to naprawdę niezrozumiany, pokrzywdzony bohater. Dobry człowiek w złym świecie, jakich w literaturze pełno! Prawda?

Tender is the reader

Bazterrica manipuluje czytelnikiem tak sprawnie i umiejętnie, że nie sposób jej nie ulec. Sprawa oczywiście nie jest czarno-biała; wiele zachowań Marco faktycznie jest chwalebnych. Oczywiście, jeśli jakkolwiek czyn w tej rzeczywistości można tak nazwać. To balansowanie autorki w szarej strefie, pomiędzy czernią a bielą jest zdecydowanie najbardziej ekscytującym elementem dzieła. Człowiek daje jej się prowadzić w najgłębsze odmęty mroku i wchodzi w nie z uśmiechem, choć wie, że kolejne zdanie może uderzyć go pięścią w twarz. Sama powieść zostawia niezwykle szerokie pole do interpretacji, zmuszając do namysłu nad konsumpcją nie tylko (choć również) mięsa, ale i kapitalizmem, przemianami społecznymi, siłą propagandy oraz zmianami klimatycznymi. Temat kanibalizmu to idealnie szokujący pretekst do opowiedzenia o nas samych, szczególnie w słowach, których nie jesteśmy gotowi usłyszeć.

Szukając więc jesiennych czy haloweenowych pozycji do dołączenia do swojej listy książek, dajcie się porwać tej obrzydliwej i krwawej ciemności. Kiedy dacie szansę jej i sobie, aby zaangażować się emocjonalnie w coś tak niekomfortowego, wyjdziecie z tej podróży odmienieni – ja myślę o tej książce dosłownie codziennie, cały czas odkrywam w niej coś nowego. A jeśli niestraszne wam moralne wyzwanie, czytajcie ją z kimś, mogę zagwarantować, że dostarczy materiału na godziny debaty! Uważajcie tylko na zakończenie – choć jest naprawdę wyborne, łatwo paść od niego trupem.

Maria PILARSKA

Czy już wiecie bez kogo Adamczycha jest piękna? Ta scena rodem z Bollywood rozpoczęła drugi już sezon perypetii szlacheckiej rodziny Jana Pawła. Serial, który pod koniec 2023 roku wystartował z wysokiego C, zawiesił sobie poprzeczkę bardzo wysoko. Czy jego twórcom udało się ją przeskoczyć albo chociaż jej dorównać?

To, co przede wszystkim wyróżnia ten sezon to główne wydarzenie, do którego cała fabuła dąży. Wcześniej mieliśmy do czynienia ze scenkami z życia rodziny Jana Pawła. Tutaj mamy misję, nadrzędny cel, którym staje się organizacja dożynek. Wydarzenie to, z pozoru brzmiące jak coroczna formalność, nabiera znacznie większej wagi, kiedy okazuje się, że nie będą to byle jakie obchody, lecz takie, które ugospodzą króla. Pojawia się pytanie, jak sprostać wybijającemu się na pierwszy plan problemowi z niespinającym się do końca, delikatnie mówiąc, budżetem. I chociaż rozsądek podpowiadałby rezygnację z organizacji, to Janowi Pawłowi przyswieca jednak myśl: „Zastaw się, a postaw się”. I w jej ramach jest w stanie naprawdę dużo poświęcić.

Fortuna w Adamczysze się nie toczy

Kiedy wszyscy w niego wątpią, on zyskuje dodatkowy przyrost wiary w siebie. Tak jednym zdaniem można byłoby opisać Jana Pawła. Właśnie dlatego, nie mając pojęcia o hazardzie, stwierdza, że jest najbardziej odpowiednią osobą, aby zawalczyć o powiększenie nieswojego – co warto zaznaczyć – majątku, który przeznaczy na dożynki. Los jednak dosłownie zagrał z nim w pokera, bo kiedy raz dał mu zwycięstwo, chwilę później ciekawość szlachcica zaprowadziła go do absolutnego blamażu. Kiedy jednak on zajmuje się stroną materialną organizacji dożynek, sferę logistyczną zaczyna przejmować Aniela. Jest to idealny przykład zasady – gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. W tym przypadku to właśnie córka Jana Pawła stara się mieć więcej do powiedzenia niż jej bracia – Jakub i Stanisław. I robi to z sukcesem, w szczególności, kiedy dostrzega potęgę pewnej męskiej cechy, którą bez wstydu sama wykorzystuje.

Czy będzie happy end?

W serialu, pomimo, że dominują postaci męskie, to te damskie – chociaż nie ma ich zbyt wiele – bardzo wyraźnie się wybijają. Przede wszystkim jednym z wiodących wątków stają się rozterki miłosne Anieli, która pała niewskazanym

Pomyślność odpowiednio zamówiona?



Wieś Adamczycha istnieje nie tylko w fikcyjnej rzeczywistości

„Aspektem, w którym twórcom serialu bezprecedensowo udało się przeskoczyć poprzeczkę w tym sezonie, jest warstwa wizualna. Lato w Adamczysze dzięki kapitalnej scenografii wydaje się jakby pełniejsze. Kostiumy i malowniczo-pejzażowe zdjęcia sprawiły, że miałam ochotę dłużej kontemplować konkretne sceny, niezależnie od tego, jak dalej biegła fabuła.

uczuciem do chłopca Macieja. I chociaż ten megaloman może jej zapewnić kłopoty, to zakochanym wydaje się to aż tak nie przeszkadzać. Do momentu pojawienia się nowej postaci – Marcina, który jest dobrze

postawionym szlachcicem, z kulturą i klasą. Jak nietrudno się domyślić, Marcin szybko awansuje na absztyfikanta szlachcianki. Nie będzie temu obojętny Maciej, do którego boleśnie dotrze „jego miejsce w szeregu” i

postanowi coś z tym zrobić. Wątek tej pary nie będzie jednoznacznie zamknięty, ale wypowiedzenie słów: „jesteś mój chłop” przez kogoś innego niż Jana Pawła nada cudownego wydźwięku tej historii.

Czy bohaterowie Adamczychy nadal bawią?

Główny zarzut, jaki pojawia się wobec kontynuacji „1670”, to mniejsza liczba humorystycznych momentów. Niektórzy zauważają przejście do poważniejszego tonu i mniejszą liczbę gagów. I faktycznie, podczas pierwszego oglądania może wydawać się, jakby twórcy

zrezygnowali z pewnych żartów. Jest to jednak trochę złudne stwierdzenie, ponieważ humor, z którym mieliśmy do czynienia już wcześniej, nie jest już takim novum i sprawia wrażenie czegoś powtarzalnego. Podobnie też widzowie mogą odczuwać niektóre żarty czy nawiązania jako bardziej bezpośrednie, a mniej subtelne, niż było to w pierwszym sezonie. Mimo to akcja z portretem trumiennym, dialog Jana Pawła z koniem czy nawet katastrofalne w skutkach zjedzenie kebaba znajdzie swoich amatorów, których rozbawi. I chociaż może faktycznie ten sezon nie opiewa w tak ikoniczne teksty, które od grudnia 2023 roku przewijają się w polskiej popkulturze, to jednak „Szczęść Boże – my na hazard” ma potencjał do walki o podium w sentencjach księdza Jakuba.

Uczta dla oka i ucha

Aspektem, w którym twórcom serialu bezprecedensowo udało się przeskoczyć poprzeczkę w tym sezonie, jest warstwa wizualna. Lato w Adamczysze dzięki kapitalnej scenografii wydaje się jakby pełniejsze. Kostiumy i malowniczo-pejzażowe zdjęcia sprawiły, że miałam ochotę dłużej kontemplować konkretne sceny, niezależnie od tego, jak dalej biegła fabuła. Zamiast wcześniejszej, nieco błotnej i mokrej odsłony wsi, mamy teraz jasne pola z pięknym, błękitnym niebem. Widoczne jest również, że twórcy chętniej sięgają w drugim sezonie po sceny zbiorowe. Zaczynając już chociażby od musicalowego wręcz początku. W ten sposób reżyser i jego ekipa mogą pozwalać sobie na lepsze rozbudowywanie przedstawianego świata. Świetne są także motywy muzyczne, które oddają klimat przedstawianych czasów, a myślę, że wielu odbiorców nie powstydzi się dodać poszczególnych pozycji do swoich playlist na Spotify.

Trudno jednoznacznie osądzić, czy drugi sezon sprostą oczekiwaniom wszystkich fanów pierwszego. Osobiście uważam, że jest to dobra kontynuacja, która nie niszczy dorobku jedynki. Jednocześnie daje też przestrzeń na budowanie większej głębi emocjonalnej bohaterów. Z pewnością mniej już polega na żartach, a bardziej na budowaniu konkretnej narracji i świata przedstawionego. Tym razem zostaliśmy zaproszeni do letniej odsłony Adamczychy. Nie było to jednak ostatnie słowo. Twórcy, niczym Reymont w swoich „Chłopach” zaproszą widzów do oglądania dalszych perypetii Jana Pawła w każdej porze roku.



Bartłomiej Topa zanim wcielił się w Jana Pawła, grał żołnierza w filmie „Karbala”

Julia ZYGMUNT

Czy nadal działa „w imię zasad”?

**Produkcja, na którą fani kultowych „Psów” czeka-
li od lat. „Zamach na pa-
pieża”, czyli najnowszy
film Władysława Pasi-
kowskiego, wszedł do kin
pod koniec września i
niemal natychmiast po-
dzielił publiczność. Jedni
opuszczali salę pełni en-
tuzjasmu, inni – wyraźnie
rozczarowani. Gdzie leży
prawda o tej produkcji?
Czy Pasikowski wraca do
formy, czy to kolejny
krok w tył w jego karie-
rze?**

Po nieudanej trzeciej części kultowych „Psów” z 2020 roku reputacja Pasikowskiego wyraźnie ucierpiała. Już wcześniej wielu widzów i krytyków zwracało uwagę na film „Kurier” z 2019 roku, który również nie spełnił oczekiwań. Dlatego najnowsza produkcja reżysera od samego początku wzbudzała kontrowersje. Jedni obawiali się, że czeka nas kolejna artystyczna klęska, inni natomiast mieli nadzieję, że po dwóch słabszych filmach Pasikowski wreszcie dokona przełomu. Jedno jest pewne – obok tego obrazu nie da się przejść obojętnie. „Zamach na papieża” wywołuje skrajne emocje i na nowo otwiera dyskusję o miejscu reżysera w polskiej kinematografii.

Filmowa historia inspirowana jest prawdziwymi wydarzeniami z 1981 roku, kiedy dokonano zamachu na papieża Jana Pawła II. Szybko jednak okazuje się, że okoliczności te stanowią jedynie tło dla zupełnie innej opowieści. Choć historia początkowo skupia się wokół wydarzeń w Rzymie, to stanowią one jedynie punkt wyjścia. Większość fabuły rozgrywa się w niewielkim, polskim mieście czasów PRL-u. Pasikowski znakomicie oddaje klimat tamtej epoki, osadzając w nim losy głównego bohatera. Czasem robi to w sposób brutalny, ale w tym właśnie tkwi konsekwencja jego stylu. Reżyser już wielokrotnie udowodnił, że kieruje się ideą „w imię zasad”.

Nieuchronny koniec

Głównym bohaterem jest były snajper, który zostaje zmuszony do udziału w tajnej operacji. W jego rolę wciela się Bogusław Linda, znany już z wcześniejszych produkcji Pasikowskiego. Można przypuszczać, że to właśnie obecność aktora zachęciła wielu widzów do obejrzenia filmu i słusznie, ponieważ Linda odnajduje się w roli zna-



Bogusław Linda – odtwórca głównej roli

”Podczas gdy jedni cenią sobie konsekwencję i nostalgiczne obrazy, inni odczuwają rozczarowanie, oczekując czegoś nowego lub przynajmniej nieprzewidywalnego. „Zamach na papieża” to produkcja, która – stety lub niestety – wpisuje się w tę przewidywalność.

komicie. Jego postać – Konstanty „Bruno” Brusicki, otrzymuje zadanie zastrzelenia człowieka, który ma wykonać zamach na papieża. Niechętnie, lecz zmuszony szantażem, bohater podejmuje się nie-

bezpiecznej misji. Świadomość nieuchronnego końca towarzyszy mu od chwili, gdy dowiaduje się o śmiertelnej chorobie nowotworowej. Już na początku filmu Brusicki poznaje swój wyrok – pozostało mu

zaledwie kilka tygodni życia, dlatego staje się idealnym kandydatem do przeprowadzenia ryzykownej „Operacji Paproch”. Pomimo zaawansowanego wieku postaci – a także samego aktora, który w tym roku obchodził 73. urodziny – kreacja Lindy zachwyca autentycznością. Aktor z niezwykłą swobodą łączy w odgrywanej postaci zmęczenie życiem z determinacją człowieka, który ma jeszcze coś do udowodnienia.

Sprawdzone rozwiązanie czy nudna powtarzalność?

Władysław Pasikowski, określany mianem specjalisty od „męskiego kina” i tym razem nie zawiodł. W swojej najnowszej produkcji zadbał o wszystkie elementy charakterystyczne dla jego twórczości: wartką akcją z wyraźnymi akcentami thrilleru, krwawe sceny oraz świat przestępczych porachunków. Ponownie ukazał również silną postać mężczyzny – typowego twardziela. Fakt, że rolę tę odgrywa Linda tylko potwierdza, iż Pasikowski pozostaje wierny własnym artystycznym wyborom. Podobny obraz bohatera reżyser prezentował już wcześniej, m.in. w filmach „Psy” czy „Kroll”, dzięki którym Linda zdobył uznanie i stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych polskich aktorów. Trudno nie zauważyć, że w dużej mierze to właśnie Pasikowski otworzył mu drogę do kariery.

W produkcji „Zamach na papieża” relacja Pasikowski – Linda opiera się, podobnie jak w poprzednich filmach, na sprawdzonych schematach: znanej tematyce i rozpoznawalnym aktorstwie. To jednak bywa powodem krytycznych ocen, gdyż wielu widzów zarzuca reżyserowi powtarzalność i brak świeżości. Podczas gdy jedni cenią sobie

konsekwencję i nostalgiczne obrazy, inni odczuwają rozczarowanie, oczekując czegoś nowego lub przynajmniej nieprzewidywalnego. „Zamach na papieża” to produkcja, która – stety lub niestety – wpisuje się w tę przewidywalność. Sceny są schematyczne, a oryginalności niewiele. Fabuła, choć formalnie inna, przywołuje na myśl wątki znane już z wcześniejszych filmów Pasikowskiego. Dla części widzów może to być niewystarczające, dla innych – wręcz przeciwnie – stanowić będzie atut: bezpieczny, „komfortowy” obraz niosący ze sobą wspomnienia. Niewykluczone, że właśnie taki był zamysł reżysera, biorąc pod uwagę obecność uwielbianego Lindy oraz PRL-owski klimat.

Czy „Zamach na papieża” to dobry film? Być może. Z pewnością jednak jest to szczególne dzieło – swoiste domknięcie współpracy duetu Pasikowski–Linda, na które wielu widzów czekało z sentymentem i ciekawością. To prawdopodobnie ostatni rozdział ich wspólnej filmowej historii, pełen emocji, napięcia i pewnej nostalgii za czasami, gdy ich kino definiowało pojęcie „twardego polskiego bohatera”. Reżyser od lat zajmuje ważne miejsce w krajowej kinematografii, a jego najnowszą produkcję można postrzegać jako symboliczne podsumowanie jego stylu: surowego, męskiego, opartego na moralnych dylematach, wewnętrznych konfliktach i emocjonalnym napięciu, które zawsze stanowiło o sile jego opowieści. Film można też odczytać jako hołd dla relacji Pasikowskiego z Lindą. Relacji twórczej, intensywnej i pełnej wzajemnego zrozumienia, która przez dekady przynosiła polskiemu kinu jedne z najbardziej wyrazistych postaci i historii... dziś są już niemal legendarne.

Małgorzata WALKOWIAK



Plac Świętego Piotra w Watykanie - miejsce tytułowego zamachu na papieża Jana Pawła II

Płomienne emocje i wuchta śmiechu. Romanse, konflikty i spotkania po latach. Do tego kolejna porcja celnych ripost. To wszystko obiecywały zwiastuny „Teściów 3” – najnowszej odsłony uwielbianej i niezwykle kasowej serii z rodzimego ogródka. Czy seans zaspokaja skutecznie pobudzony apetyt widza? Czy twórcom udało się uniknąć popadnięcia w schematy i syndromu „odgrzewanego kotleta”, jak to bywa w komediowym świecie? Recenzujemy najnowszy film Jakuba Michalczuka.

Wiadomo, że tylko szczególne okazje mogą nakłonić skłóconych tytułowych teściów do ponownego spotkania. W przeciwieństwie do poprzednich części nie będzie to kolejne podejście do ślubu ich dzieci, a chrzest wnuka. Trzecia odsłona kultowej serii stoi w pewnym kontraście do swoich poprzedniczek. Nie uświadczymy tu wielkiego miasta czy luksusowych kurortów. Po raz pierwszy jedziemy na prowincję! To tworzy okazję do poznania bohaterów z nowej perspektywy i zgłębienia różnic, które dzielą społeczeństwo – zarówno w filmie, jak i w świecie rzeczywistym. Już w zwiastunach dostaliśmy przedsmak płomiennych emocji, które miały jedynie wzrosnąć. Jak się okazało, ku radości odbiorców, zapowiedzi ukazały jedynie wierzchołek tego wulkanu!

„Teściowie 3” wciąż są w stanie widza zaskoczyć i czynią to niejednokrotnie. W produkcji nie brakuje tajemnic oraz dobrych plot twistów. Gwarantowane są częste salwy śmiechu oraz nieme grymasy szczerzego zdziwienia. Od „Teściów 2” sporo zdążyło się bowiem zadziać w życiach głównych bohaterów: Małgosi, Wandzi, Tadka i... Andrzejka, który zaskakuje wewnętrzną przemianą. Tak, tak – mąż Małgosi powraca. W dodatku ona sama o niczym nie wie, na chrzciny przybywa w towarzystwie przyjaciółki – ekscentrycznej psychoterapeutki. Możecie się domyślić, jak bardzo jest zachwycona tym spotkaniem po latach. Wandzia trzyma kierunek, który obrała po przemianie w „Teściach 2”, rozwija nawet swój własny biznes. Tadek z kolei wydaje się nieco zmęczony, przygnębiony. Cała czwórka wciąż się różni i ściera się w słownych utarczkach. Każdy z nich zdaje się skrywać jakąś własną tajemnicę.

Teściowie nie zawodzą?



Ostaszewska, Kuna i Woronowicz znów wykreowali bawiących widzów bohaterów

„Słowem, tytułowi teściowie nie zawodzą. Również aktorsko. Maja Ostaszewska (Małgosia), Marcin Dorociński (Andrzej), Adam Woronowicz (Tadek) oraz Izabela Kuna (Wandzia) zgłębiają uwielbiane postaci z pewnością siebie i świeżością, tym samym mocniej wchodząc w ich warstwę psychologiczną.

Słowem, tytułowi teściowie nie zawodzą. Również aktorsko. Maja Ostaszewska (Małgosia), Marcin Dorociński (Andrzej), Adam Woronowicz (Tadek) oraz Izabela Kuna (Wandzia) zgłębiają uwielbiane postaci z pewnością siebie i

świeżością, tym samym mocniej wchodząc w ich warstwę psychologiczną. Jeszcze więcej w nich emocji i naturalności, które otwierają drogę do serca widza. Z wypiekami na twarzy będzie on śledzić dynamiczną relację Wandzi i Małgosi,

pokocha przyjaźń Tadka oraz Andrzejka. Będzie nie tylko rozbawiony, ale też zaciekawiony – wręcz głodny kolejnych scen. I to aż do napisów końcowych! A ten filmowy apetyt wzmocni jeszcze techniczna realizacja filmu.

Spotkanie ze starymi znajomymi

Jestem absolutnym fanem pracy kamery w „Teściach 3”. Na fotelu reżysera ponownie zasiada Jakub Michalczuk, a wraz z nim powracają piękne mastershoty. Widzowi trudno jest nie śledzić uważnie akcji i rozproszyć się, gdy kamera podąża za bohaterami, budując poczucie

uczestnictwa odbiorcy w kolejnych scenach. Nawet w siedzących i statycznych sekwencjach obraz rzadko kiedy pozostaje w bezruchu. Dostajemy wiele zbliżeń oraz najazdów, jakbyśmy sami nachylali się bliżej, chcąc podsłuchać rozmowy albo po to, by lepiej przyjrzeć się emocjom skrywanym pod maskami bohaterów. Obok elektryzujących interakcji między postaciami zabiegi te nadają filmowi swoistej dynamiki. Przyciągającej widza mocniej niż Tadek kolejne butelki bimbrowa. A żeby było jeszcze ciekawiej, nie brakuje tu też krótkich ujęć, które budowały „Teściów 2”, reżyserowanych przez Kalinę Alabrudzińską. Michalczuk miesza je skutecznie i ze smakiem, całość doprawiając ścieżką dźwiękową wpadającą w ucho do tego stopnia, że w sali kinowej można było usłyszeć nuciących ją w trakcie seansu widzów.

Satysfakcjonująca jest również pamięć twórców o dotychczasowym dorobku franczyzy. Światu kultury doskonale znane są sequele, które odcinały się od starszych filmów, popychając wątki w innych kierunkach, niż wskazywały na to finały poprzedników, nijak tego nie tłumacząc. Tymczasem „Teściowie 3” nie raz mrugają do przeszłości. Krótko oraz subtelnie, i ten gest bardzo się ceni. Dla historii jest wręcz naturalny, widzowi przypomina emocje z poprzednich seansów i sprawia, że oglądając „Teściów 3”, czuje się on, jakby był na spotkaniu ze starymi znajomymi. Zabrakło mi tu tylko dwóch postaci z „Teściów 2”, które do ostatniej chwili miałem nadzieję zobaczyć podczas kontynuacji: zaskakującej mamy Małgosi; Marii (Ewa Dałkowska) oraz jej ówczesnego partnera – Jana (Eryk Kulm). Ich brak został wyjaśniony w zabawny sposób, a historia poradziła sobie bez ich udziału, a jednak wspominając seans, myśli się o tym, co jeszcze mogliby oni wnieść do fabuły. Niedosyt budzi też finał wątku Grażyny (Magdalena Popławska) – psychoterapeutki oraz koleżanki Małgosi. Wrażenie jest trochę takie, jakby zdecydowano się go wyciąć w finalnym montażu produkcji.

Niemniej jednak „Teściowie 3” są bez wątpienia najciekawszą i najbardziej dynamiczną odsłoną serii. Świeżą, konsekwentną oraz dynamiczną. W komicznej otoczce subtelnie opowiadają też o współczesnej Polsce oraz jej społeczeństwie. Nakreślają przywary, uprzedzenia, a w przestrzeni żartu znajdują miejsce na rozmowy o życiu. „Teściowie 3” to niezwykle zajmująca opowieść, która wyśmienicie bawi i pozostawia widza z apetytem na więcej. Zapada w pamięć jako jedna z najlepszych komedii polskiego kina.



Powrót Andrzejka (Dorociński) przysporzy wielu emocji

Marcin KLONOWSKI

Własny interes czy dobro graczy?

Seria gier „Skate” cieszy się sporą grupą fanów, która niecierpliwie czekała na zapowiedzianą przez EA kolejną część cyklu. Spodziewano się niesamowitych ramp, widowiskowych trików oraz ogromu świetnej zabawy i – co najważniejsze – podobieństwa do ostatniej, najpopularniejszej części gry, czyli wydanego 15 lat temu „Skate 3”. Nowa odsłona wzbudziła jednak mieszane uczucia, nie tylko przez nieatrakcyjną grafikę i projekt świata, a – przede wszystkim – za sprawą szkodliwego modelu biznesowego.

Już przy pierwszych zapowiedziach radość z faktu, że produkcja będzie darmowa, została przyćmiona przez niepokój. Spowodowany przez reputację firmy i jej tendencję do blokowania nowej zawartości za mikropłatnościami. Przypuszczenia stały się faktem, a premiera wczesnego dostępu spotkała się zarówno z dużym zainteresowaniem, jak i falą krytyki. Do gustu odbiorców nie przypadła m.in. grafika, gdyż twórcy postawili na odejście od realistycznego wyglądu postaci, jak i świata, na rzecz bardziej kreskówkowej stylistyki.

W najnowszej odsłonie „Skate’a” brakuje też barwnych bohaterów, znanych z poprzednich części. Twórcy zrezygnowali także z trybu fabularnego oraz innych cennych i angażujących form rozrywki. Dodatkowo usunięto niektóre mechaniki, takie jak widoczne obrażenia przy upadkach. Dla porównania, w „Skate 3” istniała charakterystyczna mechanika łamania kości, za którą przyznawano specjalne punkty, a także specjalny tryb gry, oparty właśnie na niej. W nowej odsłonie serii tego elementu już zabrakło. Świat wydaje się też pozbawiony duszy – San Van przypomina bardziej korporacyjne, ponure miasto, pełne powtarzalnych zadań niż miejsce do nieograniczonej zabawy. To wszystko opakowane jest w znienawidzony i szkodliwy model biznesowy, wywołując więcej zawodu niż zadowolenia w odbiorcach. Już w czasie beta testów gracze zwracali uwagę na te problemy, lecz niestety twórcy nie reagowali na nie w żaden sposób.



Nowa część serii przenosi gracza do fikcyjnego miasta San Van

Nieszczęsne mikropłatności

Zgodnie z obawami, produkcja zawiera walutę premium i jest przepakowana mikropłatnościami. Nawet fakt, że służy ona jedynie do zakupu przedmiotów kosmetycznych, a cała reszta gry faktycznie jest darmowa, nie ratuje EA od krytyki i frustracji. Ponadto w „Skate’a” nie można zagrać w trybie offline, a co za tym idzie, wymagane jest stałe i stabilne połączenie z internetem. W czasie jazdy na deskorolce bardzo często można więc spotkać się z błędem wynikającym z przeciążenia serwerów gry, a ponowne dołączenie do rozgrywki wymaga czekania w kolejce liczącej tysiące osób. W dodatku pojawiają się kolejne problemy związane z wprowadzaniem zawartości. Można odnieść wrażenie, że twórcy celowo projektują braki, by następnie poprawiać je wraz z aktualizacjami. Najbardziej zauważalne jest to, w choć w pełni zaprojektowanej, to pozbawionej wyzwań części San Van Brickswitch. Ponadto, nowe

kuszące produkty w sklepie, przykładowo ubrania we współpracy z popularną wśród skaterów marką, sprawiają wrażenie, jakby uczestniczyło się w ciągłym procesie wyciągania pieniędzy od graczy. W tej grze szybka progresja również nie jest możliwa, gdyż zadania pozwalające na zdobycie poziomu resetują się co 24 godziny. Taki model progresji nie pasuje do takiego gatunku i jest oderwany od koncepcji dynamicznej gry o jeździe na deskorolce.

Problemy tego tytułu wpisują się w szersze zjawisko, jakim są tzw. gry-usługi. W założeniu mają one zapewniać długofalową rozrywkę, ciągłe aktualizacje i stale rozwijane światy. Często jest to jednak dalekie od prawdy. Zamiast bogatej i dopracowanej zawartości z okazji premiery gracze dostają produkty przypominające szkice, które zyskują dopiero z czasem – o ile nie zostaną przedwcześnie porzucone przez wydawców. Takie podejście wprowadza do branży mechanizmy

” Obecnie w branży spotyka się wiele spośród tych problematycznych trendów – od klasycznych mikropłatności po ograniczanie zawartości w imię aktualizacji. Widać w tym korporacyjne nastawienie i chciwość. Nie oznacza to jednak, że każda gra-usługa jest skazana na porażkę i należy ją tępić.

wymuszające nieustanne zaangażowanie użytkownika, często kosztem jego czasu i pieniędzy. Systemy progresji bywają sztucznie spowolnione, aby skłonić gracza do zakupów przyspieszających postępy czy do ponownego uruchomienia gry, a wydarzenia ograniczone czasowo tworzą presję, by logować się codziennie i traktować grę jak obowiązek. Efekt jest taki, że rozrywka staje się kolejnym elementem stresującej codzienności. W dodatku przesyceni modelami usługowymi rynek gier powoduje, że powstaje coraz mniej klasycznych, kompletnych produkcji singleplayer, które można ukończyć w

dowolnym tempie, i do których można powrócić po latach. W zamian dostajemy projekty uzależnione od serwerów i decyzji wydawców. Jeśli dla deweloperów nie będzie opłacalne utrzymywanie serwerów, a więc kiedy gracze nie będą kupowali waluty premium, cały dorobek użytkownika znika bezpowrotnie i powrót do gry, motywowany np. nostalgią, nie będzie możliwy.

Obecnie w branży spotyka się wiele spośród tych problematycznych trendów – od klasycznych mikropłatności po ograniczanie zawartości w imię aktualizacji. Widać w tym korporacyjne nastawienie i chciwość. Nie oznacza to jednak, że każda gra-usługa jest skazana na porażkę i należy ją tępić. W idealnym scenariuszu model ten mógłby pozwolić na wieloletnie wsparcie tytułu, regularne darmowe aktualizacje, poprawki jakości i budowanie społeczności, wspólnie rozwijającej grę. Przykłady produkcji innych deweloperów pokazują, że rezultaty mogą być imponujące. Widać jest to w przypadku „Fortnite’a”, który również wpisuje się w definicję gier-usług. W przypadku „Skate’a” pozostaje pytanie, czy EA zdecyduje się zmienić kurs i zadbać o dobro fanów, czy też gra stanie się symbolem szkodliwej eksploatacji tego modelu. Potencjał wciąż jest duży – nowe triki, możliwość kreatywnego, wspólnego tworzenia ramp czy ulepszona gra online to atuty, które mogą tchnąć w serię nowe życie i przenieść uwagę społeczności 15-letniego „Skate’a 3” na nową odsłonę.



Electronic Arts słynie ze stosowania praktyk „gier-usług”

Bartosz DWORCZAK

W 2025 roku Bartosz Zmarzlik wreszcie doczekał się godnego rywala, a cykl Grand Prix emocjonującej walki o miano Indywidualnego Mistrza Świata do samego końca. Polak zapewnił sobie szósty tytuł w finałowym biegu ostatniej rundy sezonu. Tym samym zrównał się w liczbie mistrzostw z najbardziej utytułowanymi Tonym Rickardssonem i Ivanem Mauge-rem. Czy wobec tego 30-latką można już określić mianem najlepszego żuźłowca w historii?

Wielką karierę urodzonego w Szczecinie zawodnikowi wróżono już w nastoletnim wieku, namaszczać go na następcę wybitnego Tomasza Golloba. Młodzian szybko potwierdził, że takie opinie nie są na wyrost. Już w wieku 17 lat, startując z dziką kartą, zajął trzecie miejsce w debiutanckim turnieju z cyklu Grand Prix. Swoją pierwszą rundę wygrał natomiast jako 19-latek. Wychowanek Stali Gorzów w roli stałego uczestnika SGP po raz pierwszy zaprezentował się kibicom z całego żuźlowego świata w 2016 roku i od razu zameldował się na podium. Od tamtej pory, poza edycją 2017, zawsze kończył zmagania z medalem. Szybko też przebił swojego mentora Tomasza Golloba, zdobywając drugi tytuł po ukończeniu 25 wiosen. Gollob dokonał tego tylko raz.

W następnych kampaniach Zmarzlik uczynił z cyklu Grand Prix swoje podwórko. Niewiele brakowało, by polski zawodnik wykręcił kosmiczny wynik w postaci siedmiu tytułów mistrzowskich z rzędu. Jego dominację w 2021 roku zdołał przerwać Rosjanin Artiom Łaguta, wyprzedzając go o zaledwie trzy punkty. Tak wyrównana rywalizacja do samego końca sezonu zwiastowała, że w kolejnych edycjach cały świat czarnego sportu będzie podziwiał kosmiczne zmagania dwóch wybitnych zawodników. A z tyłu czaił się jeszcze przecież rodak Łaguty – Emil Sajfutdinow, który w tamtej edycji stanął na najniższym stopniu podium i do dziś należy do ścisłego grona najlepiej i najefektowniej jeżdżących zawodników.

W następstwie rosyjskiej agresji na Ukrainę zarówno Łaguta, jak i Sajfutdinow zostali jednak wykluczeni z rywalizacji i nie wrócili do Grand Prix do tej pory. Obaj zawodnicy teoretycznie mogliby startować z polską flagą, gdyż mają obywatelstwo naszego kraju. Na takie rozwiązanie nie zgadza się jednak Polski Związek Motorowy i zapewne nieprędko się to zmieni. W przyszłorocznym cyklu również nie zobaczymy obu gwiazd światowego speedway'a. Stałe dzikie karty powędrowały bowiem do Maxa Fricke'a, Ja-



Już w wieku juniorskim w barwach Stali Gorzów Zmarzlik wykazywał wielki potencjał

”Era cyklu Grand Prix jest bardziej wymagająca niż era jednodniowych finałów. Nie wystarczy już wygrać pojedynczych zawodów, by zyskać miano najlepszego. W SGP trzeba trzymać równy, wysoki poziom na przestrzeni około 10 rund.

sona Doyle'a i Taia Woffindena. Z każdym rokiem staje się coraz bardziej prawdopodobne, że 35-letni Łaguta i 36-letni Sajfutdinow nie powalczą już o medale indywidualnych mistrzostw świata. Patrząc na poziom, jaki obaj rajderzy prezentują w polskiej Ekstralidze, nie ulega wątpliwości, że wzmocniliby stawkę Grand Prix i walczyliby o czołowe lokaty.

W kolejnych trzech latach Zmarzlik zdominował rywalizację, dystansując wicemistrza świata na kolejno: 33, 8 i 35 punktów. Średnio 25,3 punkty przewagi nad drugim zawodnikiem należy uznać za wynik niebotyczny. Mniej przychylni Polakowi kibice zaczęli deprecjonować jego osiągnięcia, twierdząc, że nie ma on tak silnej konkurencji, jak wybitni zawodnicy z przeszłości. Innego zdania jest Michał Korościel, żuźlowy ekspert, który udzielił nam komentarza: – Zmarzlik ma tak samo silną konkurencję, albo nawet silniejszą, tylko żaden z dawnych mistrzów nigdy nie wspiął się na taki poziom, na jakim jest teraz Zmarzlik. Już teraz można mówić, że Zmarzlik jest najlepszym zawodnikiem w historii dyscypliny – twierdzi komentator stacji Eleven Sports, Eurosport i HBO Max. Taką tezę potwierdza wgląd w statystyki i historię zmagania o miano najlepszego żuźłowca globu. Do 1994 roku mistrzostwa

świata odbywały się w formie jednodniowych turniejów. Ostatnim zwycięzcą w tej formule był... Rickardsson, dla którego był to pierwszy złoty medal. Z kolei Mauger wszystkie swoje tytuły zdobył w latach 60. i 70. XX wieku.

Era cyklu Grand Prix jest bardziej wymagająca niż era jednodniowych finałów. Nie wystarczy już wygrać pojedynczych zawodów, by zyskać miano najlepszego. W SGP trzeba trzymać równy, wysoki poziom na przestrzeni około 10 rund. W klasyfikacji medalowej trwającego od 1995 roku cyklu Zmarzlik jest samodzielnym liderem. O wielkości Polaka też również liczba triumfów w poszczególnych rundach. Zmarzlik ma ich na koncie 29, drugi Jason Crump – 23, a trzeci Gollob – 22. Trudno sobie wyobrazić, by zawodnik Motoru Lublin nie poprawił swojego dorobku zarówno turniejowych zwycięstw, jak i złotych medali. W żuźlowych realiach można rywalizować na najwyższym światowym poziomie nawet po 40. urodzinach. Przy sprzyjających okolicznościach pochodzący z Kinic żuźłowiec ma więc przed sobą nawet dekadę startów, a może i więcej.

Tegoroczne Grand Prix pokazało jednak, że o taką dominację, jak w poprzednich latach, może być bardzo trudno. Z drzwiami i futryną do świa-

towej elity wszedł Brady Kurtz, dla którego był to pierwszy sezon w roli stałego uczestnika SGP. 29-letni Australijczyk wygrał ostatnie pięć rund, czyli połowę turniejów cyklu. Do walki o złoto zabrakło mu zaledwie jednego punktu. Dla postronnych sympatyków speedway'a kończący się sezon był olbrzymim powiewem świeżości. Czy jest jednak możliwe, by znowu ktoś tak poważnie zagroził naszemu reprezentantowi? – Myślę, że to dość prawdopodobne. Kurtz nadal będzie bardzo groźny, co udowodnił w ostatnim finale SON, a poza tym szyki Bartkowi mogą pokrzyżować Patryk Dudek, Michael Jepsen Jensen i Brytyjczycy. Tak czy inaczej, Bartosz będzie głównym faworytem do złota – twierdzi Korościel.

W stawce nie brakuje zawodników zdolnych rzucić rękawice polskiemu mistrzowi. Wicemistrzostwo Kurtza nie wygląda na jednorazowy wystrzał, lecz efekt jego rzetelnego i stopniowego rozwoju. Znosi się na to, że Australijczyk ma wszelkie predyspozycje ku temu, by na stałe zameldować się w ścisłej czołówce. Duży potencjał wykazują również wspomniani reprezentanci Wielkiej Brytanii – Daniel Bewley oraz Robert Lambert (kolejno 26 i 27 lat). Synowie Albionu w cyklu 2025 zajęli kolejno trzecie i siódme miejsce. Dla Bewley'a był to pierwszy indywidualny medal. Z kolei 12 miesięcy temu ze srebra cieszył się Lambert. Obaj zawodnicy mają olbrzymie umiejętności i potrafią jeździć bardzo widowiskowo. Ponadto są coraz bardziej dojrzałymi żuźłowcami i wchodzą w najlepszy wiek, by walczyć o największe laury. Ich najwięk-

szym problemem niewątpliwie jest stabilizacja formy.

Do SGP po dwóch latach przerwy wraca wicemistrz z 2017 roku – Patryk Dudek, który ma za sobą kapitalny sezon. Został Indywidualnym Mistrzem Europy, zdobył Drużynowe Mistrzostwo Polski z Apatorem Toruń i wykręcił drugą najlepszą średnią punktów na bieg, ustępując tylko Zmarzlikowi. Renesans formy przeżywa też Michael Jepsen Jensen. Duńczyk może się pochwalić mianem piątego najlepszego zawodnika polskiej ligi (w 2024 roku był ósmy). 33-latek wraca do stałej obsady po dekadzie nieobecności. Nigdy nie zdobył indywidualnego medalu, ale chociażby przykład Doyle'a, który jedyne złoto wywalczył w wieku 32 lat, pokazuje, że Jepsen Jensen najlepszy moment kariery może mieć dopiero przed sobą. Regularnie na podium lub w jego okolicach w poprzednich kampaniach meldował się Szwed Fredrik Lindgren. Wydaje się też, że pełni swojego potencjału nie uwolnił też rówieśnik i rodak Kurtza – Jack Holder.

Konkurencja w SGP wbrew nieprzychylnym Zmarzlikowi opiniom i pomimo braku Łaguty oraz Sajfutdinowa, jest naprawdę silna. Sześciu indywidualnych mistrzostw świata nie zdobywa się przypadkiem. Polakowi należy się uznanie, że był w stanie zdominować rywalizację i utrzymać tak wysoki poziom przez kilka lat. Jako kibice czarnego sportu możemy się cieszyć, że przyszło nam żyć w czasach najwybitniejszego zawodnika w historii dyscypliny, którym jest nasz rodak.

Igor DZIEDZIC

Mount Everest to nie tylko nazwa górskiego szczytu, lecz także słowo-symbol. Przez lata kolejni śmiałkowie podejmowali próbę zmierzenia się (jakby mogło się wydawać) z absolutnym limitem ludzkich możliwości.

Trudno bowiem sobie wyobrazić, co więcej człowiek mógłby zrobić wysiłkiem własnego ciała. Po raz pierwszy na Mount Everest zimą weszli Polacy, w 1980 roku. 45 lat później po raz pierwszy z najwyższego szczytu globu bez dodatkowego tlenu zjechał Polak, Andrzej Bargiel.

Urodzony w 1988 roku skialpinista już na początku swojej kariery mierzył wysoko... dosłownie. W wieku 19 lat zdobył Mistrzostwo Polski w narciarstwie wysokogórskim juniorów. Zaledwie pięć lat później zamierzył, by zjechać z Everestu. Pomysł zrodził się podczas wspinaczki na górę Lhotse, czyli czwarty najwyższy szczyt ziemi, usytuowany 8516 metrów n.p.m. nad południe od Everestu. Z Czumolungmy, bo tak brzmi tybetańska nazwa szczytu (co oznacza „Bogini Matka Śniegu”/„Bogini Matka Ziemia”) po raz pierwszy próbował zjechać w 2019 roku. Wtedy wyprawę przerwał naderwany lodowy blok o wysokości 50 i szerokości 30 metrów, który stanowił poważne zagrożenie dla ekspedycji. Trzy lata później Bargielowi przeszkodził m.in. huraganowy wiatr. Niezbędne doświadczenie zdobył już kilka lat wcześniej. W wieku zaledwie 25-lat zjechał ze swojego pierwszego ośmiotysięcznika – Sziszapangmy (8013 m n.p.m.). W 2015 roku jako pierwszy zjechał z Broad Peak, szczytu położonego na wysokości 8051 metrów n.p.m., 13. najwyższej góry świata. Trzy lata później wpisał się do historii himalaizmu jako pierwszy człowiek, który zjechał z usytuowanego 8611 metrów n.p.m. K2. Wyższy od tego szczytu jest tylko Mount Everest, sięgający aż 8848 m. n.p.m.

Do trzech razy sztuka

W przypadku Polaka to stare porzekadło okazało się adekwatne jak nigdy. Cała misja rozpoczęła się 20 sierpnia od wylotu z Warszawy. Skiapliniście towarzyszyło spore zaplecze ludzi: kierownik ekspedycji Tomasz Gaj, lekarka Patrycja Jonetzko, fizjoterapeuta Piotr Sadowski, odpowiedzialny za bezpieczeństwo Jan Gąsienica-Roj, operatorzy

Na szczycie świata



Już w 2018 roku Bargiel miał na koncie zjazd z ośmiotysięczników

”Trwająca ponad dekadę historia niesamowitych wypraw Andrzeja Bargiela, jakkolwiek banalnie to nie brzmi, powinna posłużyć nam jako źródło inspiracji.

kamery: Dariusz Załuski (który stanowił również wsparcie sportowe) i Maciej Sulima, operator drona i brat Andrzeja – Bartek Bargiel oraz fotograf Bartek Pawlikowski. Przy samym wejściu na szczyt nie obyło się jednak bez pomocy Szerpów; przedstawicieli tybetańskiego ludu,

zamieszkującego Himalaje, którzy ze względu na swoje świetne warunki wytrzymałościowe pełnią funkcję tragarzy i przewodników podczas wypraw w tym łańcuchu górskim.

Przy próbie dokonania tego typu wyczynu nie ma mowy o choćby

najmniejszym niedopatrzaniu. Nie trudno sobie wyobrazić, jak tragiczne konsekwencje może mieć błąd popełniony na mroźnej górze, położonej niemal 9 tys. m. n.p.m. Jak jednak podczas swoich poprzednich podejść przekonał się Bargiel – bezbłędna organizacja i do bólu szczegółowa logistyka niczego nie gwarantują. Niewiele brakowało, by przypomniawszy mu o tym również wrześniowa ekspedycja. Jak mówił w rozmowie z Łukaszem Majchrzykiem („Rzeczpospolita”): „Próbowaliśmy wejść już 14 września, ale wtedy się nie udało, bo zatrzymał nas śnieg i zagrożenie lawinowe. Odbiliśmy się od wysokości ośmiu tysięcy metrów. Dopiero po sześciu dniach podjęliśmy kolejną próbę. Było trudno, bo zespół był zmęczony i nie wierzył, że uda nam się osiągnąć cel. Wszyscy chcieli wracać i nie ma się co dziwić, bo warunki jesienne są bardzo trudne. To widać po statystykach, bo nawet nie wiem, kiedy było ostatnie beztlenowe wejście na Mount Everest o tej porze roku. Nawet ostatnie wejście z tlenem było jakieś 15-20 lat temu. Tylko że wtedy to były duże wyprawy, a teraz byliśmy w górach sami. W takiej sytuacji trzeba samemu przygotować drogę, zabezpieczyć ją. Jest sporo zabawy, lodowiec jest dużo bardziej wymagający. Pada mnóstwo śniegu, lód jest słabej jakości, na sześciu tysiącach metrów pada deszcz”.

Każdy ma swój Everest

Te mroźące krew w żyłach warunki nie złamały 37-latką. Jak można przeczytać na stronie redbull.com/pl w niedzielę 21 września przed północą lokalnego czasu

Bargiel wraz z Szerpami wyruszył z obozu położonego na wysokości około 7900 m. n.p.m. Aby w ogóle wytrzymać takie warunki, wcześniej przez kilkanaście dni musiał stopniowo aklimatyzować się na kolejnych wysokościach. Na szczyt dotarł po około 16 godzinach, wraz Dawą Sherpą, członkiem 10-osobowej ekspedycji, która cztery lata temu jako pierwsza zdobyła K2 zimą. Polski himalaista nie miał dużo czasu, by napawać się widokiem rozpościerającym się z wierzchołka globu. Już po kilku minutach rozpoczął zjazd, który po spędzeniu nocy w obozie drugim (ok. 6400 m. n.p.m.) kontynuował następnego dnia. Sięgające szczytu świata marzenie zostało spełnione”. Sam zjazd Andrzej Bargiel w rozmowie z redbull.com opisał jakby był elementem jego codzienności: „Druga część, drugiego dnia była zdecydowanie przyjemniejsza – była fajna pogoda, dobrej jakości śnieg i nawet to, że tak gładko poszło było dużym zaskoczeniem”.

Trwająca ponad dekadę historia niesamowitych wypraw Andrzeja Bargiela, jakkolwiek banalnie to nie brzmi, powinna posłużyć nam jako źródło inspiracji. On, jak i wielu innych himalaistów konsekwentnie udowadnia, jak daleko sięgają limity ludzkiego organizmu, ale przede wszystkim – woli i charakteru. Absolutnie nie chodzi jednak o to, żebyśmy za wszelką cenę podejmowali się ekstremalnych wyzwań czy sprawdzali granice wytrzymałości naszych ciał. Codziennie bowiem stajemy przed różnymi próbami, bardziej lub mniej poważnymi, które testują nasze możliwości. Każdy z nas ma swój Mount Everest. Dla każdego oznacza on coś innego, ale każdy może go zdobyć, niezależnie od tego – czym dla nas on jest. Liczy się to, że potrafimy podjąć próbę.

Igor DZIEDZIC



Andrzej Bargiel jako pierwszy w historii zjechał z najwyższego szczytu świata bez dodatkowego tlenu

Dwóch walczy, trzeci korzysta

Już 5 października, podczas Grand Prix Singapuru, McLaren zdobył upragnione, brakujące punkty i został mistrzem świata konstruktorów na sześć rund przed końcem sezonu. Świętowanie ma jednak słodko-gorzki smak, gdyż na drodze do podwójnego triumfu (co wydawało się już formalnością) pojawił się groźny rywal – Max Verstappen.



Oscar Piastri jest na dobrej drodze do mistrzostwa

Od początku tego sezonu McLaren był faworytem do zdobycia obu tytułów – mistrzostwa świata kierowców oraz konstruktorów. Zespół zbudował dominujący bolid, który zapewnił mu triumf w 12 z dotychczasowych 18 rund (stan na 18 października). Dzięki temu, z wynikiem 650 punktów, zapewnił sobie nagrodę najlepszego konstruktora po raz 10. w historii. Od początku 2025 roku najsilniejszym ogniwem w szeregach McLarena był zeszłoroczny wice-mistrz świata – Lando Norris. Brytyjczyk wydaje się być w życiowej formie, co przy dostarczeniu mu odpowiednich narzędzi w postaci dobrego bolidu brzmi, jak recepta na mistrzowski tytuł. To on był typowany na lidera zespołu, co potwierdził w pierwszym wyścigu MŚ – na torze w Melbourne. Szybko jednak okazało się, że największym rywalem dla 25-latkę stanie się... jego kolega z zespołu. Oscar Piastri, bo to o nim mowa, mimo znacznie mniejszego doświadczenia w F1, nie tylko dorównał kroku swojemu kompanowi, ale przez większość sezonu wręcz nad nim dominował. Po zdobyciu prowadzenia w klasyfikacji generalnej ani na chwilę go nie oddał, a zarówno w pojedynkach kwalifikacyjnych, jak i liczbie zwycięstw dystansuje Norrisa.

Mimo tego, że jest to dopiero trzeci rok Piastriego na torach F1, od kilku miesięcy jest on faworytem do zdobycia tegorocznego mistrzostwa świata kierowców. 24-letni Australijczyk w tym sezonie zwyciężył już w siedmiu rundach

Grand Prix, a jego jazda charakteryzuje się dokładnością, szybkością i stosunkowo niewielką liczbą popełnianych błędów. Solidna forma szybko przełożyła się na wymierne efekty, gdyż kierowca z Antypodów po trzecim tegorocznym zwycięstwie, odniesionym podczas kwietniowego GP Arabii Saudyjskiej utrzymuje się na pierwszym miejscu w stawce. Norris posiada praktycznie te same narzędzia i także jest szybki, solidny oraz skuteczny, ale zdaje się, że początek sezonu dał mu się we znaki w sferze mentalnej. Presja, jaką wygenerowała świetna jazda kolegi z zespołu sprawiła, że Brytyjczyk świetne weekendy przeplatał wpadkami, których można było uniknąć. Na pierwszy plan wysuwa się stłuczka, która skończyła się rozbiciem jego bolidu w GP Kanady. W zestawieniu z regularnym, punktującym w każdym wyścigu i opanowanym Oscarem, pojawił się oczywisty kandydat do tytułu.

Drugi McLaren

W obliczu toczącej się walki między tymi kierowcami, wiele zależało od samego McLarena. Zespół został przy strategii stosowanej także rok wcześniej, tzw. papaya rules. Oznacza to, że obaj kierowcy mogą walczyć na torze między sobą, dopóki się ze sobą nie zderzą. Znacznie ograniczono też stosowanie poleceń zespołowych, takich jak zamiana pozycji w przypadku znacznie lepszego tempa kierowcy znajdującego się z tyłu.

”Co przemawia na korzyść Verstappena? Choć od lat wzbudza to dyskusję, w Red Bullu kierowca jest tylko jeden. Max nie ma bezpośredniego rywala w zespole, a Red Bull traktuje go absolutnie priorytetowo.

W praktyce w wielu wyścigach wypadło to jednak... kontrowersyjnie i doprowadziło do kilku zwarć między kierowcami McLarena. W GP Kanady Lando przy próbie wyprzedzenia Oscara zderzył się z nim, co wykluczyło Brytyjczyka z dalszej części rywalizacji. W GP Austrii niemalże doszło do kontaktu, tym razem z winy drugiego z kierowców, który otrzymał reprimendę od swojego zespołu. Odwrotna sytuacja zeszła w przypadku ostatniej rundy w Singapurze. Tym razem podczas przebijania się przez stawkę Lando delikatnie uderzył w zespołowego partnera, zyskując dzięki temu przewagę i przebijając się na trzecią pozycję. To zaś, ku niezadowoleniu Oscara, nie spotkało się ze stanowczą reakcją zespołu.

W mediach społecznościowych często można spotkać się z komentarzami, jakoby rywalizacja kierowców McLarena była dodatkowo podsycana i wyrównywana przez sam zespół. Pierwszy raz mogliśmy zobaczyć to w GP Węgier, kiedy Lando i Oscar jechali z dwoma różnymi założeniami. Ten pierwszy pojechał na jeden pit stop, zaś drugi – na dwa. Okazało się to korzystne dla Brytyjczyka, który startując z trzeciej pozycji, wygrał wyścig.

Sporą dyskusję wywołało także GP Włoch, podczas którego to Oscar został poproszony o zmianę pozycji przez to, że jadący wcześniej przed nim Lando zjechał jako drugi i wskutek wydłużenia pit stopu doszło do podcięcia. Z komunikatów radiowych łatwo wysnuć wniosek, że czegoś takiego wcześniej nie było w wewnątrzzespołowych ustaleniach. Ostatecznie jednak Piastri polecenie wykonał. Obaj kierowcy mają też już za sobą weekendy, o których chcieliby zapomnieć. Awaria bolidu wykluczyła Lando z rywalizacji w GP Holandii, zaś GP Azerbejdżanu na pierwszym okrążeniu zakończył Oscar, rozbijając swój bolid o ścianę. Nieszczęścia kolegi nie zdążył wykorzystać Brytyjczyk, kończąc wyścig na siódmej pozycji.

Mistrz w barwach... Red Bulla?

Sezon stojący dotychczas pod znakiem dominacji McLarena ma jednak trzeciego bohatera – i to takiego, którego nigdy nie można lekceważyć. Red Bull po wakacjach wprowadził skuteczne poprawki, a jego czołowy kierowca, Max Verstappen wygrał dwa z czterech ostatnich wyścigów, pozostałe dwa kończąc na drugim miejscu.

Czterokrotny mistrz świata, który rozdawał karty przez ostatnie cztery lata, powrócił do gry i wszystko wskazuje na to, że nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Zważywszy na chaos w zespole McLarena, może on zgarnąć przewagę dla siebie. Obecnie do lidera traci 63 punkty i nadal jest w stanie powalczyć o zwycięstwo w klasyfikacji generalnej. Dodatkowo jego zespół zwiększył swoje szanse na nieco wyższą pozycję w klasyfikacji konstruktorów – aktualnie plasuje się na czwartej lokacie, tuż za Ferrari.

Co przemawia na korzyść Verstappena? Choć od lat wzbudza to dyskusję, w Red Bullu kierowca jest tylko jeden. Max nie ma bezpośredniego rywala w zespole, a Red Bull traktuje go absolutnie priorytetowo. Gdy w sąsiednim, pomarańczowym garażu co wyścig wybucha afera związana z przebiegiem rywalizacji czy honorowaniem papaya rules, Holender na tym korzysta, sukcesywnie wspinając się w klasyfikacji generalnej. Samochód, którym jest w stanie walczyć o najwyższe cele otrzymał stosunkowo późno – i choć w wywiadach unika jasnych deklaracji, nadal próbuje obronić mistrzostwo po raz piąty z rzędu. Mimo wyraźnego końca dominacji Red Bulla, Max i tak znalazł sposób, aby osiągać dobre wyniki. To wszystko sprawia, że walka o tytuł w tym sezonie będzie jeszcze bardziej zacięta, a ostra rywalizacja – nieunikniona.

Oliwia GARCZYŃSKA

